MYŚL NARODOWA

TYGODNIK POŚWIĘCONY KULTURZE TWÓRCZOŚCI POLSKIEJ

ROK XIII. Nr. 50. WARSZAWA, 26 LISTOPADA 1933 R. CENA NUMERU 80 GR.

5 LISTOPADA 1916 — 15 LISTOPADA 1933

W JEDNYM z dzienników polskich oświadczenie złożone przez kanclerza Niemiec Hitlera posłowi polskiemu, p. Lipskiemu, iż pragnie, ażeby w stosunkach niemiecko-polskich wyrzeczono się wszelkiego uciekania się do siły, nazwano aktem 15 listopada. Nazwa ta wywołuje w umyśle polskiem mimowolne, na podobieństwie słów oparte skojarzenie z „aktem“ 5 listopada r. 1916-go. Skojarzenie to nie jest wszelako czysto zewnętrzne; jeśli się nieco głębiej zastanowić nad aktem politycznym Niemiec, który znalazł swój wyraz w manifeście gen. Beselera i nad posunięciem politycznem kanclerza Hitlera, to musi się dojść do wniosku, że obydwa te „akty“ są wynikiem tych samych pobudek politycznych — że w celach swoich są do siebie ściśle podobne.

Słabością ich wspólną jest to, że nie są wyrazem istotnych, szczerych dążeń polityki niemieckiej, lecz krokami natury czysto taktycznej, mającemi określone cele polityczne. Bo układ stosunków geograficznych i tradycje historyczne w Europie wschodniej są tej natury, że między narodami polskim i niemieckim istnieje tragiczny konflikt, niemożliwy do usunięcia przez kompromis. Nad dolnym biegiem Wisły krzyżują się dążenia Polski do oparcia się o morze z dążeniami Niemiec do utrzymania bezpośredniego terytorjalnego połączenia Berlina z Prusami Wschodniemi.

Doświadczenie tysiącletnie wykazało, że konflikt ten nie może być załatwiony ugodowo, że był rozstrzygany w ciągu dziejów bądź to na korzyść Prus, bądź też na korzyść Polski. Traktat toruński dał Pomorze nadwiślańskie Polsce, rozbiory oddały je Prusom, traktat wersalski przywrócił je znów Polsce, wszystkie wysiłki polityki niemieckiej zmierzają dziś do tego, by wyniki terytorjalne traktatu z r. 1919 przekreślić...

Polska nie może istnieć jako państwo bez posiadania dolnego biegu Wisły i oparcia o morze; Niemcy nie pogodzą się z tem, co nazywają „korytarzem“! Ten stan faktyczny jest wynikiem działania sił, które są silniejsze, niż dążenia i pragnienia jednego pokolenia w Polsce lub w Niemczech. Jest tedy niemożliwem, ażeby między Niemcami a Polską mogło dojść do pełnego i trwałego porozumienia, jest możliwe tylko normowanie wzajemnych stosunków w okresach między ostremi starciami.

Wiedzą o tem bardzo dobrze Niemcy i nie ukrywają swych dążeń i poglądów ani wobec swoich, ani też wobec obcych. To, co się stało z artykułem v. Goebelsa, zamieszczonym w „*Saturday Review*“, jest wysoce charakterystyczne; mimo zaprzeczeń niemieckiego ministra propagandy artykuł wyszedł z pod jego pióra a zawarte w nim zamiary rozbiorcze w stosunku do Polski są wspólne wszystkim Niemcom. Jeśli w pewnych momentach wyciągają rękę w stronę Polski, to robią to dla określonych celów politycznych. W roku 1916 chodziło im o wzmocnienie materjałem ludzkim swej topniejącej armji. Dlatego to zdecydowali się na ogłoszenie, że z ziem polskich, odebranych Rosji utworzą osobne państwo z własnym monarchą. Nie obiecali jednak wówczas przyłączenia do tego państwa ziemi zaboru pruskiego, bo obiecać nie mogli. Owo osobne państwo bez tych ziem zaś, byłoby li tylko wasalem niemieckim. W roku 1933 robi kanclerz Hitler gest pojednawczy, bo

polityka niemiecka zmierza do nawiązania bezpośrednich rokowań z Francją i pragnie sobie usunąć z drogi, znajdującą się na niej przeszkodę polską. Lecz podstawą porozumienia nie ma być (i być nie może) uznanie przez Niemcy obecnej granicy polsko-niemieckiej, lecz jedynie zapewnienie, że się nie będzie dążyło do jej zmiany siłą...

Sedno rzeczy spoczywa w tem, że wszelkie pojednawcze kroki Niemiec w stosunku do Polski są i będą skazane na to, by być li tylko pozornemi i taktycznemi, że więc nie mogą być początkiem istotnego i trwałego porozumienia między dwoma państwami.

Zdawałoby się, że prawdy powyżej wypowiedziane są tak jasne, tak dobitnie potwierdzone przez doświadczenie w ciągu ostatniego ćwierćwiecza, tak już oklepane i banalne, że nie potrzeba ich powtarzać przy każdej okazji. A jednak mamy poza sobą rok 1916, gdy duża część opinji polskiej wzięła akty 5 listopada na serjo i budowała na nich przyszłość narodu polskiego. Wszak z tej wiary w możliwość kompromisu między Niemcami a Polską wynikło tragiczne rozdarcie w społeczeństwie polskiem i tak głośne a smutne spory „orjentacyjne“. Wynik wojny, przebieg konferencji pokojowej, powstanie państwa polskiego, obejmującego G. Śląsk, Wielkopolskę i Pomorze, wszystko to rozstrzygnęło te spory ostatecznie. Możnaby sądzić, że właściwa ocena stosunków polsko - niemieckich i zrozumienie polityki niemieckiej są już raz na zawsze ustalone w umysłach polskich, że żadne wysiłki taktyczne nie pozwolą już Niemcom na zamącenie jasności politycznego myślenia Polaków.

A jednak tak nie jest. Zachowanie się niektórych odłamów opinji w Polsce wobec tego, co z przesadą nazwano „aktem 15 listopada“ dowodzi, że w pewnych umysłach trwają jeszcze dawne nałogi myślowe, że jest naskutek tego rzeczą niezbędną przypominanie wciąż starych prawd o naturze stosunków polsko-niemieckich.

STANISŁAW KOZICKI

PAŃSTWO W ŻYCIU GOSPODARCZEM

PAŃSTWO w epoce dzisiejszej, w normalnych warunkach, jest, a przynajmniej powinno być narzędziem Narodu do realizacji celów, jakie przed Narodem stoją. Jak Państwo ma tę swą funkcję wypełniać? Przedewszystkiem w ten sposób, że powinno ono reprezentować i wyrażać wolę Narodu, która w normalnych wypadkach w inny sposób nie da się uzewnętrznić. Jest ono wykonawcą woli Narodu w tej dziedzinie, gdzie koniecznem jest oddziaływanie w drodze przymusu. Przy takiem pojmowaniu roli państwa ma ono prawo ingerować we wszelkie dziedziny życia społecznego, nie wyłączając oczywiście spraw gospodarczych.

I dla tego błędną jest teorja liberalna, ograniczająca rolę państwa do roli stróża nocnego i wychodząca z założenia, że dzięki automatycznemu działaniu żelaznych praw gospodarczych gospodarstwo społeczne rozwijać się będzie pomyślnie. Błędną jest jednak również teorja komunistyczna, przerzucająca na państwo cały ciężar troski o sprawy gospodarcze, poczynając od wytykania zasadniczych linij rozwojowych, a kończąc na pieczy nad potrzebami, nawet drugorzędnemi, poszczególnych jednostek. Państwo nie jest stróżem nocnym, ale nie może być również niańką i traktować społeczeństwa jak niemowlę. Dotychczasowe rozważania na temat roli państwa oscylowały między dwoma skrajnemi poglądami, nie umiejąc wyjść poza ten dylemat i stąd pochodzi ich całkowita bezpłodność.

Jest poza dyskusją, że rozwój życia gospodarczego odbywać się winien w ściśle określonym kierunku. Gospodarstwo społeczne nie jest celem samo w sobie, lecz jest jedynie zespołem środków, służących do realizacji określonych celów. System celów i ich hierarchja, a więc kierunek rozwoju gospodarczego winien być ustalony z punktu widzenia interesu narodu, a organem narodu, wytykającym kierunek rozwoju winno być państwo.

Teorja automatycznego rozwoju gospodarczego w dzisiejszych warunkach nie da się utrzymać. Rozwój stosunków gospodarczych jest w mniejszym lub większym stopniu zależny od woli ludzkiej i przejawy tej woli ludzkiej winny być w ramach danego gospodarstwa społecznego poddane jednolitemu kierownictwu państwa.

Działalność gospodarcza jednostek i zbiorowości krępowana jest bądź przez instynkty społeczne, wytworzone w jednostkach, należących do danego społeczeństwa w ciągu pokoleń, a przejawiające się nazewnątrz w postaci prawa zwyczajowego, normy moralnej lub zwyczaju oraz przepisów prawa pisanego, wydawanego przez państwo i zarządzenia organów państwa na przepisach prawa pisanego oparte. Im silniej w danem społeczeństwie rozwinięte są instynkty społeczne, pchające rozwój gospodarczy we właściwym kierunku, tem ingerencja państwa może być mniejsza, im instynkty te są słabsze, lub bardziej rozłożone, w tym większym zakresie musi interwenjować samo państwo, Można sobie teoretycznie wyobrazić dwa krańcowe przykłady, w pierwszym instynkty społeczne byłyby tak silne, że interwencja państwa nie byłaby wcale potrzebna. W drugim instynkty te nie istniałyby zupełnie i państwo musiałoby spełniać lub ściśle kontrolować wszystkie funkcje gospodarcze. Powtarzamy raz jeszcze, że oba przykłady są całkowicie teoretyczne. Przytaczamy je jedynie poto, by tem jaskrawiej podkreślić rolę interwencji państwowej w życie gospodarcze.

Z punktu widzenia ideologji narodowej dopuszczalna jest ingerencja państwa w życie gospodarcze, często nawet w bardzo szerokim zakresie. Jest ona bowiem koniecznością, ale koniecznością, która zawsze pociąga za sobą większe lub mniejsze skutki ujemne. Pochodzi to z dwu przyczyn: jednej — natury zasadniczej, drugiej — praktycznej.

Narody europejskie opierają swą cywilizację na silnie ukształtowanej i samodzielnej jednostce. Nie są one stadem, hordą, lecz zespołem analogicznie myślących i działających jednostek. Samodzielność i silny charakter wyraża się przedewszystkiem przez to, że jednostka sama decyduje i potrafi brać odpowiedzialność za wszelkie swe poczynania, nie wyłączając oczywiście dziedziny gospodarczej. W tych warunkach wszelka ingerencja państwa, która polega na zastępowaniu jednostki, pomaganiu jej, wreszcie kontrolowaniu, z konieczności prowadzi do osłabienia samodzielności tej jednostki i dlatego przynosi mniejsze lub większe szkody.

Z drugiej strony trzeba wziąć pod uwagę, że interwencja państwa kosztuje. Dlatego zawsze trzeba się zastanowić w każdym poszczególnym wypadku, czy koszty interwencji nie są większe od zysków, jakie ma przynieść wkroczenie państwa w stosunki gospodarcze.

Możliwe są trzy formy interwencji państwowej. Pierwsza to bezpośrednie wkroczenie państwa, jako podmiotu gospodarującego. To prowadzenie przez państwo przedsiębiorstw przemysłowych, handlowych i rolniczych. Druga metoda to regulowanie życia gospodarczego przy pomocy przepisów prawnych, np. zakazy przywozu, ustalanie cen maksymalnych i t. p. Trzecia metoda to stwarzanie takich warunków, któreby pchały rozwój życia gospodarczego w pożądanym kierunku, np. cła, premjowanie eksportu, przywileje dla produkcji krajowej i t. p.

Teoretycznie biorąc, najbardziej właściwą formą interwencji państwowej jest właściwie ta ostatnia forma. Ona bowiem najmniej krępuje inicjatywę jednostki, najmniej osłabia jej indywidualną twórczą energję. Praktycznie jednak biorąc muszą być stosowane wszystkie trzy metody. Metoda bowiem stwarzania warunków nie zawsze jest dostatecznie skuteczna. Trzeba jednak zawsze pamiętać o tych szkodach ubocznych i kosztach ubocznych, jakie pociąga za sobą interwencja państwa w sprawy gospodarcze.

Okres niedalekiej przyszłości — rządów narodowych będzie musiał być okresem wzmożonej interwencji państwowej. Będzie to bowiem okres budowania nowego gospodarstwa narodowego, które bez czynnego udziału państwa nie będzie możliwe. W szczególności nie będzie możliwe bez wydatnej pomocy rozwiązanie kwestji żydowskiej w dziedzinie gospodarczej. Zdając sobie z tego sprawę musimy jednak pamiętać, że celem naszej polityki, nie jest stworzenie azjatyckiej hordy ludzi - automatów, ale europejskiego społeczeństwa, składającego się z ludzi, posiadających głębokie poczucie odpowiedzialności za własne czyny.

J. PRUS

KRÓLESTWO BOŻE ŚWIATA STAROŻYTNEGO

(RZECZPOSPOLITA PLATONA)

(Dokończenie)

V

OBSZERNE wywody dotyczące urządzeń doskonałego państwa, choć nie pozbawione dla autora związku z aktualnością, nie zrywają wątku jego myśli. A mieć trzeba w pamięci, że rozpoczęte zostały nie w innym celu, jak dla unaocznienia na przystępnym, przekonywującym przykładzie istoty sprawiedliwości. Powstaje więc pytanie, czy owo doskonałe państwo sprawiedliwem jest, a jeżeli tak, na czem ta jego cecha polega. Sokrates nieco zawiłą stosuje metodę, wzorowaną poniekąd na dowodzeniach matematycznych, gdzie się z wiadomych wyprowadza niewiadome. Doskonałe państwo mądre jest nie dzięki zaletom wszystkich mieskańców, lecz nieznacznej mniejszości tych, którzy niem kierują. Mężne jest dzięki znowu nie wszystkim, lecz wojownikom utrwalonym przez odpowiednie wychowanie w dobrych zasadach wojskowych. Wreszcie roztropność, choć w nielicznem gronie rządzących mieć musi swoją ostoję, jednak przez przyzwolenie na rządy ich właśnie, znajduje miejsce w duszach wszystkich obywateli. Ustępy te obfitują w piękne i uderzające orzeczenia zwłaszcza gdy chodzi o arcygrecką cnotę roztropności czy umiarkowania — sofrosyne.

„Wydaje mi się, rzekłem,... iż w samym człowieku co do duszy jest część lepsza, a jest i gorsza. A kiedy ta, co z natury lepsza jest, panuje nad gorszą, wówczas mówimy z pochwałą, że człowiek panuje nad sobą. A gdy wskutek złego wychowania lub towarzystwa opanowana zostanie przez przewagę złego cząstka lepsza lecz mniejsza, wówczas ganimy to i wytykamy i mówimy, że człowiek taki jest słaby sam w stosunku do siebie i nieokiełznany". Z miłością i zapałem wspomina wtedy autor o porządku społecznym, będącym płodem jego myśli. „Spójrz teraz, rzekłem, na młode nasze miasto, a przekonasz się, że w niem zgoła inaczej się dzieje. Powiesz bowiem że słusznie nazwać je można panem samego siebie, jeżeli tam, gdzie lepsze panuje nad gorszem, mówi się o roztropności i panowaniu nad sobą". „Dobrześmy zatem przeczuwali, że roztropność podobna jest jak gdyby do pewnej harmonji". „Bo nie działa ona tak jak odwaga lub mądrość, z których każda, znajdując się tylko w cząstce, czyni miasto—jedna—mądrem, a druga — mężnem. Ona zaś nie tak działa, lecz rozpościera się wręcz po całości, sprowadzając do zgody i najsłabszych i najmocniejszych i średnich, czy to pod względem rozumu, czy też siły, czy to liczby, czy bogactwa, czy czegokolwiek bądź innego z tych rzeczy. Zatem słusznie taką jednomyślność nazwać możemy roztropnością, czyli naturalnym zestrojem gorszego z lepszem w zależności od tego, co ma panować tak w mieście jak w każdym pojedyńczym człowieku".

Oczywiście odbija się w tych ustępach tak głęboko u Platona zakorzenione poczucie konieczności dla społeczeństwa organizacji, wpływu środowisk skupionych, choć nielicznych, a niechęć i potępienie dla demokratycznej rozsypki. Ale nie docenia Platona, kto przypuszcza, że poprzestaje on na ogólnikowych wyrazach. Właśnie tutaj zaciska koło rozumowania, by odkryć właściwą zasadę panującą w tej całej dziedzinie. Dopiero co określone cechy doskonałej budowy społecznej mają mu wskazać istotę tej, której poszukuje, — sprawiedliwości.

Znów myśliwskie odzywają się u Platona reminiscencje. „Zatem, Glaukonie, trzeba nam teraz jakby jakim myśliwym obstawić knieję dookoła, skupiając uwagę, by nam sprawiedliwość nie uszła i, przepadłszy, nie stała się niewidzialną. Jasnem jest bowiem, że tu gdzieś się znajduje. Wytężaj więc wzok i pilnie wyglądaj, czy jej gdzie prędzej odemnie nie dojrzysz i mnie wskazać nie zdołasz". „Niedostępne wydaje się to miejsce i ciemne. Jest bowiem mocno zacienione i nieprzejrzyste, a jednak trzeba iść naprzód". — „Nuże, nuże, Glaukonie, zdaje mi się, że mamy trop jakiś i że ona niebardzo zdoła się nam wymknąć".

„Słuchaj tedy, czy mówię do rzeczy. To, cośmy za powszechny obowiązek uznali, wówczas gdyśmy zakładali miasto, to, jak mi się wydaje, lub jakiś tego rodzaj jest sprawiedliwością. Ustaliliśmy bowiem i wielokrotnie powtórzyli, jeżeli pamiętasz, że każdy zajmować się winien jedną z rzeczy dotyczących państwa i to tą mianowicie, do której natura jego z przyrodzenia stała się najsposobniejsza". „Że zaś czynienie swojej powinności, a nie zabieranie się do wielu rzeczy naraz, jest sprawiedliwością, tośmy od wielu usłyszeli i wielokrotnie sami powiedzieli". „To zatem, przyjacielu, dokonywane w pewien sposób zdaje się być sprawiedliwością — pełnienie swej powinności. Wiesz z czego o tem sądzę?" — „Wydaje mi się, że to, co pozostaje jeszcze w państwie poza zakresem przez nas rozpatrzonym, mianowicie roztropnością, męstwem i rozumem, jest tem, co wszystkim tamtym cnotom dostarcza możności powstania, a gdy powstaną — przynoszenia ratunku, dopóki ono trwa. A powiedzieliśmy, że sprawiedliwość będzie tem, co jeszcze nam pozostanie po odkryciu tamtych trzech".

Więc sprawiedliwość w znaczeniu wiernego przestrzegania swej powinności jest podstawą tego ducha karności, który nietylko nie dozwala wtrącać się do spraw cudzych, lecz jest zródłem oddania się dobru ogólnemu, poświęcenia dla sprawy ojczyzny. Że ta karność, że to przestrzeganie niezbędnego rozdziału obowiązków nie jest tyko rutyną, nie jest tylko mechanicznem poddaniem się narzuconemu porządkowi, to z tego najlepiej się okazuje, że Platon zgodnie z wypowiedzianym zamiarem przenosi bez wahania dostrzeżoną w życiu społecznem zasadę w sferę duszy indywidualnej i szuka tu możliwości i formy jej zastosowania. „I mąż sprawiedliwy pod względem samej formy sprawiedliwości w niczem różnić się nie będzie od sprawiedliwego miasta, lecz będzie do niego podobny". I czyni przytem bystrą uwagę: „Czyż nie musimy zgodzić się z konieczności, że w każdym z nas te same kształty są i znamiona, co i w naszem mieście rodzinnem? Bo przecież znikąd inąd tam sie nie dostały". Tu podaje Platon nieraz cytowaną charakterystykę narodów, — butę i porywczość Traków, Scytów i w ogóle narodów północy, — miłość wiedzy Greków, — chciwość Fenicyjczyków i Egipcjan.

Trzy zasadnicze stany są w państwie — rządzący, rycerski i zarobkujący, i największym występkiem jest przywłaszczanie sobie atrybucji jednego przez drugi. Podobnie w duszy ludzkiej są zasadnicze siły. Dwie te, których zmaganie się najbardziej uderzające jest i widoczne, — pożądliwość i władza rozumu, która ją hamuje. Ale jest i trzecia, punkt to najciekawszy może w psychologji Platona, to owa pobudliwość objawiająca się gniewem, namiętnością, gorącością uczucia. Bynajmniej nie należy jej mieszać z pożądliwością, bo przeciwnie, gdy pożądliwości na człowieka biją, nieraz gniew staje właśnie po stronie rozumu. Tak samo oburzenie na doznaną niesprawiedliwość, a cierpliwe poddanie się zasłużonej karze nic niema wspólnego ze ślepą grą pożądliwości. Od rozumu zaś również różni się bujność temperamentu, bo zdarza się znowu, że rozum go musi powściągać, gdy zbytnio człowieka unosi. Podobnie więc jak w państwie należyty ład znaczy się harmonją stanów opartą na karności, tak i w duszy człowieka sprawiedliwość jest, gdy wszystkie władze duszy należycie wykonywują swe czynności.

„Czyż więc władzy rozumu panować nie przystoi, skoro jest mądra i wykonywuje pieczę nad całością duszy, a znowu temperamentowi, by był jej posłuszny i z nią sprzymierzony". „A czyż, jak się powiedziało, połączenie muzyki i gimnastyki nie sharmonizuje tych władz, jednę wzmagając i karmiąc użytecznemi rozważaniami i nauką, drugą kojąc zachętą i uspakajając harmonją i rytmem". „Wtedy to one dwie tak będąc wychowane i prawdziwie zadań swoich nauczone i w nich wykształcone, panować będą nad pożądliwością, której w duszy każdego jest najwięcej".

Takie opanowanie niższych i pierwotniejszych instynktów przez wyższe i szlachetniejsze jest podstawą nabycia tych cnót, o których poprzednio mowa była, — zarówno mądrości, jak męstwa i roztropności, ono powinno być podstawą nawet prostszych w życiu czynności, jak nabywanie majątku lub piecza nad swem ciałem, tem bardziej troski o sprawy publiczne.

Ta analogja między ideałem moralnym i politycznym jest wynikiem owego marzenia o państwie doskonałem. w którem Platon szukać postanowił klucza do właściwego pojęcia sprawiedliwości. Komuby się zaś czemś zbyt suchem i prostaczem wydała ta zasada, którą Platon raz jeszcze powtarza, że o to chodzi, by szewc pozostał szewcem, a nie chciał być czem innem, cieśla podobnie i tak samo we wszystkiem, ten wczuć się winien w komentarze i wynurzenia Platona, wsłuchać się w przejmujące tony, w jakie on uderza, gdy chodzi o tę zdobycz jego myśli, a wtedy zrozumie, jak rozległe mędrzec grecki swemi prostemi słowami wskazał widnokręgi. Wiec przedewszystkiem to:

„To prawda, czemś podobnem była, jak się zdaje, sprawiedliwość, lecz nie ze względu na zewnętrzne wykonywanie swej czynności, lecz na w e w n ę t r z n e, istotnie jego i spraw jego dotyczące, nie dopuszczające, by cokolwiek w nim w cudze wdawało się sprawy, albo by rodzaje zawarte w jego duszy nie rozpraszały się jedne w stosunku do drugich, lecz by on w istocie uporządkował swój dom i panował nad sobą i wprowadził ład i przyjacielem stał się sam sobie".

Słuchacze Sokratesa tak bardzo odczuwają doniosłość zdobytych poglądów, że gdy on sam im proponuje, by powrócili do poprzednio zaprzątającej ich kwestji, w jakiej mianowicie mierze można uznać sprawiedliwość za pożyteczną, uznają, że samo pytanie stało się śmieszne, „bo skoro życie przy zniszczonem przyrodzeniu ciała utrzymać się nie da, nawet przy wszelkich pokarmach i napojach, ani przy bogactwie i wszelkiej władzy, — jakże tedy żyćby można przy zachwianiu i podkopaniu tego właśnie, czem żyjemy, choćby kto czynił cokolwiekby chciał poza tem, dzięki czemu oswobodzić

się może od nieprawości i niesprawiedliwości, a nabyć sprawiedliwość i cnotę". — „Cnota bowiem, jak się zdaje, zdrowiem jest i pięknością i pomyślnością duszy, zło zaś jest chorobą, i upodleniem i niedołęstwem".

VI

Taka więc jest centralna koncepcja Rzeczypospolitej. Wartości moralne, mówiąc po naszemu, decydują w człowieku, na wartościach moralnych i ich wprowadzaniu w życie opierać się winna budowa państwa. Powodzenie innych zasad jest pozorne albo zawodne. Sformułowanie takiej myśli, rzucenie choćby tylko przypuszczenia, że organizacja polityczna mogłaby nie być wypadkową gry pożądań i ślepych namiętności, a stać się ostoją i wyrazicielką wyższego i stokroć płodniejszego rzeczy porządku, jest wielkiem wydarzeniem w dziejach świadomości ludzkiej i jednem z tych świateł, wcale nie jedynem, które na jej widnokręgu pierwszy zapalił Platon Ateńczyk. Dalsze koleje tej idei we własnym umyśle autora też są niezmiernie doniosłe, a pozwalają zmierzyć tego umysłu światłość i potęgę.

Uderzającą jest rzeczą, że jeżeli chodzi o te właśnie refleksje, które nasuwają się Platonowi po nakreśleniu zarysów sprawiedliwości człowieka i doskonałości państwa, to na plan pierwszy wysuwa się pytanie, czy i w jakiej mierze ideał taki możliwy jest do urzeczywistnienia. „Jeżeli odkryliśmy, mówi, jaką jest sprawiedliwość, to czyż wymagać będziemy, by człowiek sprawiedliwy w niczem od niej się nie różnił, lecz w zupełności był takim, jaką jest sprawiedliwość? Czy też zadowolimy się tem, gdy jak najbardziej do niej się zbliży i ze wszystkich najwięcej uczestniczyć w niej będzie? — Tak jest. Zadowolimy się. — Zatem dla zdobycia w z o r u poszukiwaliśmy, jaką jest sprawiedliwość i człowieka doskonale sprawiedliwego, gdyby powstał, a o ileby powstał, jakiby był". — „Czyż za gorszego uważasz dlatego malarza, że nakreśliwszy wzór, jakimby był człowiek doskonale piękny i w swój rysunek wprowadziwszy, nie może dowieść także możliwości narodzenia się takiego człowieka".

Więc jeśliśmy poprzednio zwrócili uwagę, że w sprawie programu reformy państwa należy odnosić się do pomysłów Platona z pewną wstrzemięźliwością ze względu na warunkowy, świadomie hipotetyczny charakter jego rozmyślań, to mamy tu w tym kierunku najdalej idące i najwyraźniejsze oświadczenie samego autora. Stajemy zatem wobec typowo platońskiej koncepcji. W gruncie rzeczy chodzi o ideję, o myśl przewodnią. Wszystko inne ma mniejsze znaczenie, byle dusza ludzka była zapłodniona ideałem.

A jednak sam Platon wytrwać nie może w tem wyrzeczeniu się urzeczywistnień, które zdawał się co dopiero zalecać. Jego samego nurtuje trapiące pytanie, dlaczego tak daleka jest droga od tego, co jest, do tego, co jasno myśli jego przyświeca. I pada ten wykrzyk namiętny, tak niesłusznie poczytywany nieraz za jakąś gorliwą pretensję: „Powiem, choćby nas wręcz falą śmiechu zalać miało szyderstwo i niedowierzanie... Uważaj, co chcę powiedzieć. —

Dopóki albo miłośnicy mądrości królewskiej nie będą po miastach sprawować władzy, albo dzisiaj tak nazwani królowie i władcy nie ukochają mądrości rzetelnie i prawdziwie i dopóki w jedno się nie zleje to dwoje, — władza polityczna i filozofja, i dopóki to mnóstwo, dziś oddzielnie o jedno lub drugie się ubiegających, nie będzie przymusowo od nich wykluczone, — dopóty, kochany Glaukonie, nie będzie końca nieszczęściom miast, a jak sądzę i rodzaju ludzkiego ani też ten ustrój, któryśmy teraz myślą przebiegli, prędzej nie stanie się możliwy i światła słonecznego nie ujrzy".

Powołanie filozofów do tak wysokiej roli pociąga za sobą konieczność ustalenia, kto właściwie zasługuje na to miano. A rozwiązanie tej sprawy daleko zaprowadzi Platona. Na razie o to chodzi, że są miłośnicy prawdy i są miłośnicy pozorów, miłośnicy mądrości i miłośnicy „widowisk". Tylko komu się odsłoniła niezmienna treść rzeczy, wiekuiste piękno, wiekuista sprawiedliwość, ten zasługuje na miano filozofa, kto poprzestaje na zmiennej kolei zjawisk i na nie jedynie skierowuje uwagę, ten nie zrozumiał jeszcze, na czem wiedza polega.

Podwójne są przyczyny, dla których ludzie kochający mądrość wpływu zdobyć nie mogą. Jedne polegają na uprzedzeniach rzesz ludzkich, drugie na zgubnej roli jednostek fałszywe roszczących pretensje do miana mędrców. — W istocie bowiem większość ludzi nietylko nie uznaje potrzeby duchowego pogłębienia u tych, którzy rządzić mają, ale są zdania, że filozofja może jest dobra za młodu dla wykształcenia, ale później, gdy ktoś w niej trwa, staje się dziwakiem, by nie powiedzieć czegoś gorszego, i dla państwa zgoła nieużytecznym. Ma się tu rzecz, jak na okręcie, gdy zbuntowana załoga odsuwa od steru doświadczonego kapitana, wyobrażając sobie, że sterować każdy potrafi, a cóż dopiero podżegacz zbuntowanych marynarzy. A jednak nie jest rzeczą słuszną, by sternik napraszał się o pozwolenie kierowania okrętem albo mędrzec o wpływ się dobijał.

Inna znów sprawa, że za ujemne o filozofji wyobrażenia odpowiedzialni są także ci jej adepci, którzy w istocie nie dorośli do zadań przez nią stawianych. W tem miejscu Platon porusza przedmiot niezmiernie w jego pismach częsty, a jest niem walka z osobliwem zjawiskiem zwanem sofistyką. Była ona niewątpliwie płodem greckiej gleby, równie samorodnym i nieprzewidzianym, jak sztuka, literatura lub filozofja. Trudno jednak przychylić się do zdania tych, a były to nieraz zdania ważkie, którzy nie chcą w niej widzieć objawu niezdrowego i niszczycielskiego pierwiastka. I choć w pewnem znaczeniu istotnie sofistyce zawdzięczamy Sokratesa i Platona, nie ulega wątpliwości, że Platon, który ją dobrze znał, surowo ją sądził. Osobliwie w Rzeczypospolitej, może w związku z przedmiotem i charakterem utworu, ciosy wymierzone w jej przedstawicieli szczególnie są wymowne, a zdaje się że i szczególną goryczą zaprawne. Patrzy tu Platon na sofistykę poprzez urządzenia polityczne, o których powiada, że tylko cudem boskim może się przy nich uchować człowiek uczciwy, upatruje w sofistach czynnik mniej nawet od tamtych szkodliwy, a jednak za szerzące się znieprawienie odpowiedzialny. Więc choć źródłem złego jest demokratyczne uprzywilejowanie pospólstwa nie jest to oczyszczeniem tych, którzy mu pochlebiają i do godności zasad podnoszą jego słabości i zboczenia. Jest to tak, jak gdyby ktoś wielkie i potężne wychował sobie zwierzę, a poznawszy gniewy jego i pożądliwości, i jak do niego podchodzić i jak go dotykać, i kiedy jest złe, a kiedy łagodne i dla-

czego, i jakie kiedy wydaje głosy, a przy jakich odgłosach od kogo innego pochodzących uspokaja się lub podnieca, — a nauczywszy się tego wszystkiego przez obcowanie z niem i długi bieg czasu nazwał to mądrością, a zestawiwszy systematycznie jako sztukę, uczynił przedmiotem nauczania".

Szczególny żal objawia Platon do takich, którzy pod podwójnym wpływem złych urządeń i złych nauczycieli mimo wielkich zdolności i szczęśliwych warunków porzucają filozofję. To też ona pozostaje jakby w osieroceniu, a wdzierają się do niej ludzie zgoła niegodni i wstydem i zelżywością ją okrywają I „stają się podobni do owego kowacza miedzi z uciułanym groszem, łysego i małego wzrostu, dopiero co zwolnionego z kajdan, lecz obmytego w łaźni, świeżą szatę mającego, ustrojonego jak oblubieniec, dla ubóstwa i opuszczenia swego pana mającego poślubić jego córkę". „A cóż należy przypuszczać, że spłodzą ludzie tacy? Czyż nie rzeczy nieprawe i złe?" — I tego zarzutu nie braknie pod adresem sofistów, że tych, którzy ich słuchać nie chcą, dotykają na czci i majątku a nawet życiu.

Więc dziwić się trudno, że mądrość nie znajduje uznania, a jednak w niej jest zbawienie społeczeństw. Bo nawet lud tak wrogi dziś i uprzedzony zmieni zdanie, byle właściwym językiem do niego się zwrócić. A nikt bardziej od filozofa nie jest powołany, by pozyskać zaufanie jego. Albowiem „filozof przestając z tem, co boskie jest i uładzone, sam ładu pełnym i boskim, o ile to człowiekowi możliwem, się staje". I tu właśnie objawia się cała wielkość Platona. Jest on z myślicieli znanych historji pierwszym, który marzy o przeobrażeniu, o uszlachetnieniu urządzeń politycznych świata. A zarazem tem góruje nad liczną rzeszą swych późniejszych naśladowców, że rozumiejąc całą podniosłość celu nie łudzi się by osiągnąć go było można środkami innemi, jak najwyższa, drogami innemi, jak najdoskonalsze. W istocie owa postać filozofa powołanego do rządów państwem, „malarza mającego je nakreślić, posługując się boskim pierwowzorem", jest ogniwem łączącem przewidywane reformy z treścią nauki Platona, która pozostaje podstawą, warunkiem i źródłem tych wszystkich pochodnych koncepcji. Bo w istocie owe wpływy filozofji i filozofów na rozwój i poprawę politycznych stosunków nie są bynajmniej pomyślane jako stosowanie suchych formuł, jako powierzanie najwyższych zadań duszom oschłym, posłusznym oderwanemu kodeksowi jakby to ze słownictwa późniejszych wieków wynikać mogło. Księgi szósta i siódma Rrzeczypospolitej a liczne ustępy w dalszych świadczą o tem wymownie, że Platonowi przyświeca myśl zupełnie inna. Najwyższa świadomość Bożej myśli w świecie, zachwyt nad ładem panującym w założeniu rzeczywistości, zapatrzenie w lepszy rzeczy porządek, bedący pierwowzorem tego, co nas otacza, surowe wyćwiczenie myśli, by umiała mierzyć wartość każdego swego kroku, — oto przesłanki, na których jedynie wielka naprawa społeczeństwa oprzeć się może, jak nawzajem te przeobrażenia społeczne są warunkiem przyjęcia się prawdziwej mądrości wśród ludzi.

To jest uderzające i godne zapamiętania, że w żadnem z pism swoich Platon nie ma akcentów bardziej natchnionych, jak w tej rozprawie poświęconej reformom politycznym. Więc tutaj po rozważeniu szeregu cnót najważniejszych w społecznem życiu, jak mądrość, męstwo, roztropność, sprawiedliwość, oświadczy, że jest nad nie coś wyższego, bez czego one ani być ani poznanemi byćby nie mogły, mianowicie idea dobra, tak niezbędna dla myśli, jak światło jest niezbędne dla oka. A jak światło ma swoje źródło w słońcu, tak byt wszelki z Dobra się wyprowadza.

„A mniemam, że słońce wedle twego zdania rzeczom widzialnym nie tylko przynosi widomość, ale też powstanie, wzrost i pokarm, choć samo nie jest powstawaniem". „I w tem, co poznajemy, nietylko poznanie od dobra pochodzi, ale i byt i istota od niego mu przybywa, choć dobro nie jest istotą, lecz jeszcze poza istotę sięga swą godnością i potęgą".

Tylko jakby dla złagodzenia akcentu, dla przyciszenia tonu, wtrąca Glaukon „bardzo żartobliwie": „Na Apollina, co za bajeczny polot!" Zaraz potem pada rozróżnienie jedno z najbrzemienniejszych, jakie wypowiedział Platon, bo ono stało się osią myślenia więcej niż dwudziestu wieków: „Wyobraź sobie tedy, że dwóch jest, którzy królują, jeden nad rodzajem i miejscem myślnym, drugi znów nad widzialnym, bo nie chcę mówić o niebie, abyś nie sądził, że się wdaję w sofistyczne tłumaczenia tej nazwy. Ale czy umiesz rozróżnić te dwa kształty, widzialny i myślny?"

Jak bardzo ta świadomość wyższego porządku jak widzialny, świadomość nietylko już filozoficzna lecz religijna, łączy się z całokształtem poglądów i pomysłów Platona także w dziedzinie politycznej, tego dowodem, że tu właśnie, w Rzeczypospolitej, zachodzi owo sławne porównanie życia ziemskiego do pobytu w ciemnej jaskini, gdzie światło ogniska tylko przez wązki otwór się wdziera. Siedzą w niej więźniowie skrępowani, mogący spoglądać tylko na przeciwległą ścianę. Widząc tam cienie ludzi i przedmiotów przesuwających się poprzed owem ogniskiem, stwarzają sobie całą teorję tych kształtów, a wierzyć nie chcą, że rzeczywistość zgoła jest inna. A jednak właśnie filozofji jest powołaniem zwyrodniałe w ciemnościach oczy przyzwyczajać powoli do światła. I znów te oderwane na pozór poglądy nawiązują do zagadnień praktyki. „Moje zatem zapatrywanie tak się przedstawia: w zakresie poznania idea dobra ostatnim jest krokiem i ledwo dostrzedz ją można. Lecz gdy się ją raz dojrzy, musi być poczytana za przyczynę wszystkiego, co prawe i piękne, za rodzicielkę w świecie widzialnym światła i jego władzy, a w świecie myśli za panią, dostarczycielkę prawdy i rozumu, którą oglądać winien każdy, kto ma postępować roztropnie, czy to w sprawach prywatnych czy publicznych".

Ostatnie księgi obfitują w powtórki i dodatki. Na końcu dziewiątej raz jeszcze wypływa sprawa możliwości idealnego państwa. Glaukon napomyka, że ono w myślach istnieje. „Ależ, odpowiada Sokrates, w niebie zapewne znajduje się jego pierwowzór dla tego, kto zechce patrzeć, a widząc wzorować się na niem. A wszystko jest jedno, czy ono istnieje, czy też nie, bo on dla niego tylko działać zechce, a dla innego nie".

Znamy ten krańcowy ton obojętności. W istocie ten ton w nim się nie utrzyma, bo przeczy mu całe założenie Rzeczypospolitej. Im wyżej podnosi wartość i dostojeństwo prawdy, tem bardziej nieuniknione stają się wynikłości jej i zastosowania, tem żywiej się odzywa ten jej mesjaniczny pier-

wiastek. I nie jest zapewne przypadkiem, że gdy po szeregu wieków w nowym już rzeczy porządku odrodzony platonizm zawładnie umysłami, zrodzi się wśród myślicieli wschodniego kościoła pojęcie apokatastazy, — powszechnego wszech rzeczy odrodzenia.

A na drugim krańcu ówczesnego świata inny wielbiciel Platona, św. Augustyn, patrząc na dokonane koleje historji, nie bez wpływu największego z Ateńczyków skrystalizuje myśl swoją w słowach: *„Gloriosa dicta sunt de te, civitas Dei“.*

ADAM ŻÓŁTOWSKI

KARTKI Z PODRÓŻY

IV. U ŚW. STANISŁAWA i NA AWENTYNIE

Rzym, 16 października

PAMIĄTEK polskich w Rzymie — jak to słusznie podnosi w cennej broszurze dyrektor naszej pielgrzymki — jest ilość duża, a skala ich rozpiętości chronologicznej sięga też szeroko: od świtów niemal średniowiecznej Polski do mroków niewoli.

Pokłońmy się po drodze, jako w roku jubileuszu, zacnemu, ale słabemu Aleksandrowi Sobieskiemu, u Kapucynów na *„Via Veneto“* i siostrzenicy jego Marji - Klementynie Stuartowej u św. Piotra i idźmy na *„Botteghe Cscure“*, do kościoła polskiego św. Stanisława.

W tę jedyną niedzielę pobytu naszego w Rzymie wielka się święci tutaj uroczyscość pielgrzymia: następcy tych pątników Rzeczypospolitej, których wylicza inna broszura cytowanego już autora, tłoczą się w niepozornym od zewnątrz kościołku, co we wnętrzu zaskakuje nas nieco rokokiem swem poniatowiańskiem. W transepcie uderza nas postać nowej ambasadorowej polskiej, Hiszpanki z domu, obok zaś niej też może egzotyczna, bo „z matki obcej“, ale pełna ujmującej ascezy i promieniejącej z wnętrza pogody, postać generała Jezuitów, O. Włodzimierza hr. Halka-Ledóchowskiego.

Wdzięczne zadanie miał ks. biskup lubelski, przemawiając, w zastępstwie nieobecnego nuncjusza, do pielgrzymów. Mówił im o wielkich założycielach tej świątyni, o świetnym tym przedstawicielu *„ecclesia militans“* w szczególności, jakim był nasz Hozjusz; o nabożeństwie dziękczynnem za „Odsiecz“, które odbywało się w tymsamym kościele, o biskupach krakowskich, co, od Jerzego Radziwiłła do Adama Sapiehy, w dobrej i złej doli, czuwali nad bytem *„Ecclesiae et Hospitalis S. Stanislai E. M. Pelonorum de Urbe“*, odwiedzanego, jak zaznaczył również mówca, chyłkiem przez księży z b. zaboru rosyjskiego. Po nabożeństwie zaś dorzucił do wszystkich tych rzewnych wspomnień dyrektor pielgrzymki jeszcze jedno: o Mickiewiczu, co na grób przyjaciela — Parczewskiego, stypendysty wszechnicy wileńskiej i literata, ułożył napis własnoręczny i, po powrocie z Neapolu do Rzymu (30 czerwca 1830 r.), modlił się na tym jego grobie.

— — — — — — — — — — — — —

W dwa dni później, jakżeby na epilog owej uroczystości patrjotycznej, pielgrzymujemy *en touriste*, na Awentyn. Urok ma niezwykły ta przejażdżka, co mija „parów przedziczały w skały“ Krasińskiego, jakiż odmienny od dziczy ówczesnego *„Campo Vaccino“*, gdzie już nie chwaszcząca się, ale sztucznie puszczona roślinność, bluszczem i laurem, zdobi *vestigia* dziejów. Spacer ten archeologiczny, zasługa Bonich i ich następców, doprowadza nas wkońcu na Awentyn.

Tu już jesteśmy w innem, wcześniejszem centrum pielgrzymiem dawnej Polski. Zabaczamy o pełen szlachetnej prostoty nowy, „leoniński“, kościół Benedyktynów niemieckich, gdzie cudna ich muzyka liturgiczna, gregorjańska, rozbrzmieje, jak nas poucza *cicerone,* dopiero po „Wszystkich Świętych“ i przechodzimy do pobliskiej, dominikańskiej „Świętej Sabiny“.

Podczas gdy w benedyktyńskim *„San Vitale“* myśleliśmy raczej o bywalcu ich ówczesnego klasztoru na Awentynie, św. Wojciechu, to tu, u Dominikanów, fresk nawet (dosyć zresztą średniego efektu) mówi nam o Polsce już nie z epoki „kołodziejów“, ale tej z największego rozkwitu wiary, w którym Sącz odpowiadał Assyżowi, „Bogarodzica“ „Hymnowi do Słońca“, świątynia zaś marjacka z dominikańskiego rodziła się ducha. Iwo, Jacek, Czesław, te Odrowąże, to nasze Guzmany, tak jak wcześniej ów Sławnikowic czeski stał się nam Benedyktem, Bonifacym czy Patrykiem. Tak więc ta *„colline sacrée“*, jedna z wielu, jakie liczy Rzym chrześcijański, zatrąca dla nas jakby Wawelem, Gnieznem, Rynkiem Krakowskim i wprowadza nas na „Awentyn“ ducha, zdala od trosk doczesności i powszedniości.

V. W „WERSALU“ FASZYSTOWSKIM

Rzym, 17 października

Ze śniadania dla pielgrzymów w ambasadzie polskiej, utalentowana rzeźbiarka, co przywiozła ze sobą z Warszawy „gościńce“ artystyczne dla Ojca św., porywa mnie na słynną już *„Mostra fasscish“*. Wkraczamy do „Wersalu“ tego faszystowskiego (*„à toutes les gloiros de l'Italiei“*), na *„Via Nazionale“*, w dziwaczno-symbolicznym zbudowanego stylu (Kubizm i faszyzm święcą tam swoje małżeństwo) i staramy się przebiec, jak tylko dobrze udać się to może przy dzisiejszem tempie turystycznem, dwadzieścia kilka sal wystawy.

Pierwsza z tych sal poświęcona jest „Wielkiej Wojnie“ jako takiej, co obrazuje się w relikwjach tej tak odległej już epoki: *„extrablattach“* np. o mordzie serajewskim, fotomontażu wybuchu wojny i t. d. Druga sala wciela w siebie w szczególności „interwentyzm“ włoski z przywódcami swoimi: d'Annunziem, Battistim, Mussolinim i Marinettim, za temi dwiema idzie zaś dwadzieścia komnat analogicznych: krzykliwych, plastycznych, ekspresjonistycznych, wrzynających się w mózg i oczy, jak, na dwadzieścia pięć metrów wysokie, metalowe symbole z fasady. Jest więc tam sala wojny i sala zwycięstwa, jest sala genezy faszystowskiej i wyprawy na Fiume, jak parlamentarno-bolszewickiego roku 1920, przygotowawczego dla faszyzmu — 1921 i rozstrzygającego — 1922. Potem zaś — marsz na Rzym z wyrytą plastycznie na mapie trasą koncentracji: *„Milano — Perugia — Roma!“* Naokoło zaś relikwje i hasła: *„Credere,*

---

[1]) Patrz „Myśl Narodowa“ z 12-go b. m.

obbedire, combattere" („wierzyć, słuchać, walczyć!"), „*Ordine, autorita, disciplina*" („porządek, autorytet, karność") i — biuro dyktatora z Medjolanu i — ława radziecka w Belonji, na której padł Gialio Giordani i — wszelakie wcielenia „*Duce*"...

— — — — — — — — — — — —

Extra zaś *muros* dawnej stolicy, opodal Lateranu i w lewej nawie bazyliki watykańskiej dwa znów się wzniosły w tymsamym okresie pomniki.

Pierwszy z nich, to pomnik miłości — pomnik bohatera czczonego także przez Włochy faszystowkie, świętego Franciszka Bernadone, którego pustelnia assyzeńska przywodziła na myśl Dantemu nadgangesowską jakby już ascezę, pomnik bohatera pogodnej, cichej, zapierającej się siebie kontemplacji. Drugi zaś, to pomnik pokoju — piękny pomnik Jakóba della Chciosa, pomnik Benedykta XV: na tle palącego się Reims'u czy innego miasta „wielkiej wojny" klęczy z profilu postać arystoktatyczna tego papieża w chwili kiedy gorąco modli się o pokój dla Włoch i świata.

Rzym przyzwyczaił nas „od zawsze", że jest miastem kontrastów: „*complexité et harmonie*". Trudno wszakże o kontrast pełniejszy ekspresji, jak pomiędzy zgiełkiem „*mostra fascista*" a tymi dwoma pomnikami.

KAZIMIERZ MARJAN MORAWSKI

ZE SŁOWIAŃSKIEJ NIWY

RYSZARD KATALINIĆ JERETOV:

SAMOTNIK

Młodości mojej mi nie żal,
Choć przeżyłem ją ze łzą,
Nie sięgam już we wspomnień dal
I kocham dziś samotność swą.

Lubię, gdy słońce składa skroń
Czerwieniejącą, niby krew,
Lubię więdnących kwiatów woń
I zapach liści spadłych z drzew...

Lubię ostatni dzwonów dźwięk,
Gdy „Anioł Pański" kończą już,
I starych drzew ponury jęk,
Miotanych wichrem pośród burz.

Lubię żórawich szelest piór,
Co wśród powietrznych szumią dróg,
I kask księżyca pośród chmur
I dogasanie gwiezdnych smug...

Lubię słowika tęskny śpiew,
W którym brzmi zachwyt, miłość, ból,
I grzmot, co z górnych huczy stref
I cichy smutek zżętych pól...

I mój też smutek cichy jest,
Choć wszystkich mych złożyłem w grób
I otrzymałem bólu chrzest
Wśród ciężkich życia trosk i prób.

Spokojnie płyną dziś me dni,
Jak łódź na szarem stawu tle,
Młodości mojej nie żal mi
I nie chcę wrócić jej, o nie!..

DZIEWCZĘ W TRUMNIE

Młodziutka dzieweczka spoczywa w trumience,
Wianuszek kwiecisty oplata jej skroń,
Uśmiechać się zdają usteczka dziewczęce
I zda się, nadziemska otacza ją woń.

Zaledwie na życia stanęłaś ty progu,
Gdy nagle przed tobą otworzył się grób,
O, zmarła dzieweczko, co powiesz tam Bogu,
Gdy anioł do świętych przywiedzie cię stóp?

Czy spytasz się Pana, dlaczego na ziemi
On gościem chwilowym pozwolił ci być,
Czy chciał cię z duchami połączyć czystemi,
By bieli twej duszy nie mogło nic ściemić?

Dokoła niej kwiaty wonieją upojnie
I krople w nich rosy migocą, jak łzy,
A ona się zdaje spać słodko, spokojnie,
Dzieweczko urocza, o, powiedz, gdzieś ty?..

Z CODZIENNYCH DUMAŃ

Wzbroniono nam niestety, przyszłości znać tajniki,
Kroczymy, jakby ślepi po błędnej życia drodze,
Udziałem naszym krótkie radości są promyki
I długie lata cierpień, spędzane w łzach i trwodze..

Zaiste, tu na ziemi trwa szczęście mknienie oka,
A za niem idą śladem zawody i zwątpienie,
Tak słońce w dzień pogodny patrzące wciąż z wysoka,
Czasami i przed burzą ukaże swe promienie...

Więc smutny los jest ludzki, lecz ten z nas jest szczęśliwy,
Kto umie żyć nadzieją, choć ból mu duszę wierci,
Kto wierzy i miłuje, bo spokój on prawdziwy
W ostatniej znajdzie chwili, gdy spojrzy w oczy śmierci...

WŁODZIMIERZ NAZOR

AVE MARIA!

Ave Maria! Z górskiego hen szczytu
Pozdrawia ziemię słońce zachodzące
I wkrótce zniknie opona z błękitu,
Na ciemnem niebie błysną gwiazd tysiące.
Dźwięk uroczysty nad wioską się szerzy
I jak pieśń ziemi ku niebu się wzbija,
To dzwon kościelny z wysokiej brzmi wieży,
Jak przytłumiony płacz „*Ave Maria!*"

Ave Maria! Uczucie nieznane,
Lecz dziwnie błogie ogarnia mą duszę
Wskrzesza postacie dawno zapomniane,
O których myśleć mimowoli muszę.
Jakieś urocze snują się obrazy
Z czasów dzieciństwa, co tak szybko mija,
Chciałbym uklęknąć tak, jak tyle razy
Gdym mówił z matką swą: „*Ave Maria!*"

Ave Maria! Nie wiem, co jest ze mną,
Lecz jakiś przewrót czuję w swej naturze,
Dzwon ten mi mówi swą mową tajemną:
„Szczęście i spokój są tylko tam w górze!"
Ja zaś twierdziłem, niedowiarek młody:
„Tam tylko próżnia, kraina niczyja".
Dzisiaj zaś słyszę hymn całej przyrody
W słodkiem wezwaniu tem: „*Ave Maria!*"

Ave Maria! Gdy wszyscy się modlą,
Czemuż ja także się modlić nie mogę?
Czyżem z tych jeden, co życiem się podlą,
Na zła, występku wstąpiwszy już drogę?
Nie wiem, co głosi ta mowa nieznana,
Która się w dzwonu odgłosie przebija,
Lecz mimowoli gną się me kolana
I rwie się z piersi krzyk: „*Ave Maria!*"

Ave Maria!.. Nie jestem ja pewny,
Czy ta modlitwa mi spokój przywróci,
Lecz czuję nastrój tak błogi, tak rzewny,
Że mi go może już nic nie zakłóci.
W sercu się budzą wierzenia dziecięce,
Jak echo prawdy, która nie przemija,
Ku niemu wznoszę błagalnie me ręce
I z głębi duszy ślę: „*Ave Maria!*"

Z Chorwackiego przełożyła S. M. S.

NA WIDOWNI

Jubileusz p. Jędrzeja Moraczewskiego i życzenia p. Jędrzejewicza. — Jak to było przed 15 laty? — Rola socjalizmu. — Dziwny kształt czapki frygijskiej. — Walka organizmu narodowego z chorobą.

MIAŁEM pisać o czem innem, ale przeglądając w poniedziałek dzienniki poranne, spostrzegłem notatkę tej treści:

Rocznica rządu p. Moraczewskiego.

Wczoraj w sali Teatru Wielkiego odbyła się akademja ku czci p. Jędrzeja Moraczewskiego w 15-tą rocznicę utworzenia jego rządu. Na zgromadzenie to przybyli p. premjer J. Jędrzejewicz, pp. ministrowie Nakoniecznikow-Klukowski, Hubicki, Kaliński oraz wielu dygnitarzy państwowych cywilnych i wojskowych, posłów sejmowych i działaczy społecznych. P. Moraczewski zasiadł w loży 1-go piętra wraz z żoną. Akademję zagaił przewodniczący komitetu uroczystości poseł z B. B. p. Pączek, poczem kolejowa orkiestra odegrała hymn narodowy. Głos zabierali liczni mówcy. Po przemówieniach p. Moraczewski przyjął życzenia od obecnych na sali członków jego gabinetu z przed 15 lat: pp.: Supińskiego, Iwanowskiego, M. Malinowskiego, M. Downarowicza i mowę swą, wygłoszoną w odpowiedzi, zakończył okrzykiem na cześć marsz. Piłsudskiego.

Ku czci Jędrzeja Moraczewskiego... w loży... życzenia... okrzyk... premjer... wielu dygnitarzy państwowych cywilnych i wojskowych... Więc jednak żyje Jędrzej Moraczewski; przynajmniej może o sobie powiedzieć: *non omnis mortuus sum.*

O, jakże symboliczna jest ta jego loża w wielkim teatrze naszej polityki. Nie zginął, żyje, jeno się przewcielił stosownie do warunków czasu. Ci, co hołd mu składali, czuli to, co Krasiński, mówiąc o Mickiewiczu: „my wszyscy z niego“.

Zdawało się ludziom, że obecny *regime* (i publicyści re-żymowscy) nie będą się chełpić moraczewszczyzną, ale gdy ten jubileusz staje się czemś tak żywem, to czyż ja, skromny świadek ubiegłych lat 15-u, nie mam prawa urządzić sobie jubileuszu i przypomnieć, co w swoim czasie o tym tradycyjnym *regim*'ie pisałem?

Przytoczę niżej krótki rozdział z książki swojej „O życiu i katastrofach sywilizacji narodowej“. Książka, pisana w r. 1920, wydana była w Warszawie (str. 148 i n.):

— — — — — — — — — — — —

Łatwo — tak pisałem — wyobrazić sobie czasy, kiedy potomność dowiadywać się będzie z opracowań historycznych o tem, jak to w Polsce dokonywał się powrót do niepodległości. Szczególnie ciekawy będzie widok, ukazywany w świetle ruchu socjalistycznego.

Na terenie Polski toczyła się walka w łonie socjalizmu między tak zwaną międzynarodówką drugą a trzecią, czyli bolszewizmem. Socjaliści polscy (PPS) już podczas wojny światowej przy pomocy Austrji i Niemiec doszli do posiadania pewnej siły zbrojnej do walki z Rosją, a gdy Polska po upadku tych państw uzyskała niepodległość, zdołali zawładnąć — co było ich marzeniem — zaczątkami państwowości i posiłkując się organizacją państwową dla swoich celów reformy socjalnej, rządzili w niej lat parę. Działo się to wbrew woli narodu i wbrew intencjom kongresu wersalskiego, który Europę środkową postanowił uwolnić od wpływów niemieckich. Partja zaś rządząca w Polsce tak ściśle z Niemcami była związana, że po objęciu władzy sprowadziła sobie z Berlina doradcę Kesslera, ale tego lud warszawski ze zgorszeniem ze stolicy wyświecił.

Naogół wszakże naród nie prędko się zorjentował w położeniu, że nie jest podmiotem twórczym dziejów swoich, lecz narzędziem w rękach międzynarodówki. Dziejopisarze będą zastanawiali się nad tem, jak to się stać mogło, że partja, będąca w stanie (przy najliberalniejszej w świecie ordynacji) wprowadzić do sejmu zaledwie 35 posłów, potrafiła w ciągu paru lat posługiwać się państwowością polską dla swoich celów i naród tak długo nie mógł dojść do swej własności.

Historyk tych zdarzeń będzie mieszał ironję z podziwem, że tak szczęśliwie mogło się małej partji złożyć. Wyjaśni, że pomogły jej doskonałe warunki polityczne. Tu będzie mowa o tak zwanej „lewicy“, która przy pomocy masonerji i żydów działała w sojuszu z anonimowem mocarstwem, o sojuszu socjalistów z Niemcami i — oczywiście — o niesłychanej niedojrzałości politycznej Polaków.

Dość powiedzieć, ze sami Polacy po odzyskaniu niepodległości w roku 1918 dopomogli socjalistom do ujęcia w ręce władzy, przekazanej im przez ustępujących z kraju Niemców. Dali sobie wmówić, że socjaliści, przebrani po ułańsku, dla prawa noszenia orzełka polskiego zrzekli się swych celów reformy socjalnej, i że Polska jest dla nich celem, nie środkiem. Na czem opierali tę złudę, na to historyk sensownych dowodów nie znajdzie, ale wytłumaczy to pewno psychologicznie — — osłupieniem mentalnem Polski po 150-letniej niewoli.

Dziejopis będzie miał sposobność uczenie zanalizować ten szczególny w dziejach wypadek, że spisek w pewnych warunkach może zdziałać za naród i w jego imieniu cały szereg czynów, zanim organizm narodowy zdąży organicznie uświadomić sobie stan rzeczy i jaźń swoją odszukać. Znajdzie w tem dowód, że zakonspirowane działanie małej garstki, świadomej celu, aczkolwiek tylko mechaniczne i w gruncie pozbawione sensu, oraz sił moralnych, okazać się może na krótką metę stokroć sprawniejszem, niż broniąca się od niego umysłowość narodu bujnego, mającego wiele talentów życiowych, ale niezorganizowanego w swojej myśli politycznej.

*

Naród polski w tym stanie swoim przypominał poczciwego wielbłąda, który przyklęka, nie bacząc, kto go dosiąść zamierza, i nie dbając, dokąd w pustynię nim pokierują. Tak samo on, nie wiedząc, kto na nim siedzi i dla czego ciągle na lewo jego uździenicą targa, szedł wielkim krokiem ku swej zgubie.

A zdarzyła się pod koniec wojny światowej rzecz dla drugiej międzynarodówki przykra, że jej antagonistka, trzecia międzynarodówka (zwana bolszewizmem), w oparciu bezpośredniem o anonimowe mocarstwa zawładnęła Rosją i dokonawszy tam gruntownej reformy socjalnej, ani myślała ustąpić P. P. S. praw do urządzania obszarów między Polską i Rosją, na których P. P. S, pragnęła działać, powołując do życia państwowego Litwę i Ukrainę w myśl dawnych planów niemieckich. P. P. S. poprowadziła Polskę do walki. Trwała ta wojna do końca 1920 r.

Dzieje tej wojny, której wyniku wyczekiwał cały świat cywilizowany z zapartym oddechem (tak wielkie było ryzyko zalewu świata przez uwsteczniane reformami hordy rosyjskie), rzucają ciekawe światło na zasadniczy konflikt, zachodzący między

wolą działania, płynącą z doktryny, a wolą naturalnego życia organicznego, jakiem jest życie narodu z jego myślą dziejową, opartą na instynktach.

Gdy się wyzywają na walkę dwaj rycerze, któryż z nich ma więcej szans przewagi? Ten, który lepiej zżyty jest ze swoim rumakiem, który stanowi z nim jakby jedno ciało i jedną duszę, który walczy jak centaur. P. P. S. zaś siedziała w siodle, jak żydek na kradzionym koniu. Między narodem a partją nie mogło być zrozumienia. Do końca wojny nie mogły się te elementy porozumieć co do celów wojny, bo nie było w jeźdźcu szczerości.

Pod grozą niebezpieczeństwa życia naród szybko dojrzał i nadawać począł tej walce myśl własną, co wywoływać musiało głuchy w nieudanym centaurze zatarg wewnętrzny. Coraz słabiej działała uździenica z powódką, rumak ponosił. Pod działaniem żywiołu dziejowego, jakim jest wola życia narodu, pękała doktryna i P. P. S. z wściekłością stwierdziła, że staje się narzędziem narodu.

Oczywiście, walka krępowana sprzeczną grą motywów psychicznych jeźdźca i narodu nie była łatwa, bo była podwójna, nawet potrójna; P. P. S. walczyła przecież wewnątrz z własnem sumieniem partyjnem i z narodem. Nie była pewna, czy dobrze czyni, walcząc z bolszewikami; znaczna część partji przechodziła na tamten front; każdy krok w walce stawał się właściwie kompromisem, a walka tak nieszczerą, że gdyby to od partji zależało, cały kraj ze stolicą byłby już dawno w rękach bolszewików. Partja męczyła się w sztucznem pożyciu z narodem, który ją unosił na swej faii. A to udawanie miłości było szczególnie nieznośne. Podobne było do pożycia małżeńskiego, zawartego dla karjery z ukryciem zasadniczego defektu, który czyni pożycie oszukańczem.

Polska godziłaby się na wszelki demokratyzm i radykalizm nawet, ale niechby ci, którzy państwo chcą z nią tworzyć, istotnie to mieli na celu i żyli racją stanu; tymczasem był to związek sztuczny, mający co innego na celu, związek niemoralny przez to, przeznaczający nieraz Polskę w sposób sutenerski na spekulację polityczną.

*

W nieszczęśliwem tem pożyciu, które nazwać można pasmem „dziejów grzechu" politycznego, a które przypominało nieraz bohaterstwa Pochroniowe w powieści Żeromskiego, tłem stosunków było oszustwo i wzajemna nieufność. Z każdym miesiącem przekonywano się z coraz większym żalem, że w niczem partji ufać nie można, nawet w tem, czy nie zechce oddać kraju bolszewikom. Wykryte stosunki tajne P. P. S. i przygotowania do gwałtów utwierdziły naród w przekonaniu, że dalsze pożycie z tymi „mechanikami" jest niemożliwe.

Budowa społeczna jest sprawą organiczności duchowej, w której funkcje biologiczne w miarę rozwoju zamieniają się w dążenia celowe moralnej natury. Tymczasem Polska dostała się w ręce ludzi ze spaczoną w szkołach umysłowością, którzy wyobrażają sobie, że ewolucję ludzkości zastąpią systemem mechanicznych działań, choćby z pomocą... pyroksyliny.

P. P. S. w kolebce, śniąc po nocach więziennych rewolucję francuską, marzyła o reformach socjalnych po uprzedniem zawładnięciu władzą państwową i wojskiem; doświadczenia jednak lat 1918—1923 przekonały partję, że nie jest to droga fortunna. Eksperymenty, na ciele moralnem narodu dokonywane, są zbyt kosztowne, nawet dla spiskowców.

W r. 1905 — 6, gdy partja strzelała policjantów, rozbijała kasy w pociągach, było jej z tą rewolucyjką bardziej do twarzy, niż kilkanaście lat potem, gdy w mundurze państwowym prowadziła pociąg państwa. W tamtej „mechanice" był charakter — coś z Janosika, coś z Pochronia, coś z Rinaldo-Rinaldiniego. Nie było to budujące, ale więcej miało pierwiastku bohaterskiego, niż ten karnawał polityczny w przybraniu Kościuszków i Napoleonów. Zabawa stanu uczyniła z bojowników chimerycznego ideału socjalistycznego gromadę karjerowiczów bez indywidualności i dalszego planu.

Z oddalenia dziejowego — powie przyszły historyk — ten przykry epizod wygląda pogodniej, niż wówczas przedstawiał się Polakom, mianowicie ze względu na dość śmieszne położenie samej P. P. S.

Rumak dziejów ponosił tę dwuznaczną a pretensjonalną postać niezdecydowanego konkurenta bolszewików co do reform w Polsce i amanta Niemiec w inną stronę, niż to było w planach. Gdyby nie czapka frygijska, która w popłochu ruchów spadła mu z głowy, historyk nie zrozumiałby tej eskapady.

Owa czapka leży przed sądem historji. Jest to stylizowana jarmułka żydowska, zrobiona tak pomysłowo, że można z niej mieć i czapkę frygijską, i szwabską myckę, i rogatywkę krakowską.

— — — — — — — — — — — —

Tak pisałem o początkach przed laty, gdy p. Jędrzej był u szczytów swej osobistej karjery. Po jego rządach następowały inne z pewną przymieszką pierwiastków narodowych; w r. 1920, w chwili dla Polski najniebezpieczniejszej, rządy sprawował przedstawiciel ludu wiejskiego, Witos. Za to, że dobrze wywiązał się z zadania, nagrodzony był najwyższą oznaką Orła Białego.

W tej chwili właśnie, jednocześnie z opisem owej akademji, czytam komunikat, ogłoszony w „Gazecie Polskiej", że sąd wyznaczył już termin wykonania wyroku w t. zw. sprawie więźniów brzeskich i że za nieobecnym w kraju Witosem, w razie gdyby nie stawił się do więzienia, wysłane będą listy gończe.

Tak oto minęło 15-lecie, jak z bicza trzasł. Bo cóż znaczy w dziejach narodu okres tak krótki, choćby dla żyjących wydawał się wiecznością!

ZYGMUNT WASILEWSKI

GŁOSY

GDY W TOWARZYSTWIE NIEZBYT ZE SOBĄ ZGRANEM w atmosferze nieufności i sporów znajdują się dwaj megalomani, można być pewnym, że oni pierwsi wpadną na siebie i do oczu sobie doskoczą. Nie dziw tedy, że i na szerszej widowni, w Europie mianowicie, po wojnie światowej ostro wzajem przeciwko sobie wystąpili przedewszystkiem Niemcy i żydzi. Wiek dziewiętnasty aż do dnia dzisiejszego był dla obu tych narodów okresem chorobliwego wzmagania się megalomanji. Niemcy doszli aż do idei „Herrenvolk'u“ i wynalezionej przez siebie rasy „germańskiej“, którą, jakoby wyłącznie, charakteryzuje typ nordyczny, a ten znów, jakoby wyłącznie, jest człowiekiem twórczym, jedynym całej cywilizacji ludzkiej autorem. Żydzi nie dali się na tem polu prześcignąć. Od wielu tysięcy lat uważają siebie za „naród wybrany“, a całą ludzkość traktują z pogardą i nienawiścią, którym nawet pruska buta dorównać nie zdoła. Początek wieku dwudziestego nadął żydów taką pewnością siebie, że wybuch wojny pomiędzy obiema magalomanjami stał się nieunikniony. Żydzi gospodarowali już w Niemczech, jak u siebie, a kiedy miarka się przebrała, gospodarz gościa nieproszonego na łeb ze swojego domu wyrzucił. I słusznie. Nawet megalomanja Niemców nie umniejsza ich słuszności w tym wypadku.

Żydzi podnieśli wielki gwałt z powodu tej nieprzyjemności. Niema już w słowniku takiego słowe czarnego, brudnego, kolczastego, którego by żydostwo w prasie swojej stale do Niemców nie stosowało. Między innemi szydzą żydzi zawzięcie i z idei rasy i z rasizmu niemieckiego i z nordyzmu i z „narodu panów“. Lecz jednocześnie sami własną swoją rasę ponad całą ludzkość wynoszą i tak od pychy pęcznieją, że kto to widzi, w czas na bok się usuwa w przewidywaniu prędkiego pęknięcia tego pęcherza, co dla nosa ludzkiego zbyt wielką groziłoby przykrością. Zmierzmy obecną objętość pęcherza megalomanji żydowskiej na dwóch przykładach, — na jednym z dziedziny poezji, a drugim — z dziedziny polityki.

W syjonistycznym, ostro przeciw Germanji nastawiowym „Naszym Przeglądzie“ w numerze z 22 października r. b., a więc w czasie pełnej kampanji żydów przeciw rasizmowi, ukazał się utwór poetycki p. t. „Na „zgon“ rasy żydowskiej“. Czytamy tam:

„Nie, nie umarła, jak to próżno głoszą,
Ta ras człowieczych pani i królowa;
Przedwcześnie wróg się napawa rozkoszą,
Żaden ją grabarz pod ziemię nie schowa,
Nieodrze z skarbów, co kulturę wznoszą,
Nie zamknie w kaźni, nie pozbawi słowa,
Bo jak nią była w dobie złotych godów,
Tak dalej będzie mistrzynią narodów“.

Nieco dalej poeta wyraża przekonanie:

„Że jeśli łuną wojny świat nie płonie,
Jeśli nie grzęźnie w rozpuście wszetecznej,
To tylko przeto, że na przestępstw progu
Morał z judzkiego czerpie Dekalogu“.

Pomyślmy, że to się drukuje tuż po rzezi dwóch miljonów chrześcijan, którą w Rosji dokonało żydostwo!

A jeszcze o kilka wierszy dalej natchniony wieszcz tak prorokuje: w rasie żydowskiej już

...... „nowe kształty, formy i postacie
Pną się ku górze, wzbijają w błękity:
Narody, wiary, plemiona i klasy
W jeden się łączą blok semickiej rasy“.

Jest-to wprawdzie poezja, ale drukuje ją dziennik polityczny. A zresztą poezji tej dotrzymuje kroku polityka, czego jednym z wielu dowodów niech będzie tu urywek z mowy wielkiego syjonisty Franza Openheimera, wygłoszonej w r. 1928 w Londynie na politycznym bankiecie syjonistycznym:

„Celem syjonizmu nie jest stworzenie schroniska dla żydów, prześladowanych w diasporze. Syjonizm dąży do stworzenia nowego kraju wzorowego, który winien służyć za przykład dla wszystkich narodów“.

Hm... Niema wątpliwości, że żydzi mają tak zwanego „fijołka" w głowie. I jak tu z takim narodem rozmawiać?

O WYKŁADZIE NACHUMA SOKOŁOWA NA TEMAT SJONIZMU pisze nam jeden z czytelników:

„Należy żałować, że konferencja prasowa Nachuma Sokołowa, prezesa światowej Organizacji Sjonistycznej, (odbyła się ona w ub. poniedziałek w Hotelu Europejskim w Warszawie) była tylko konferencją prasową, nie zaś odczytem publicznym, dostępnym dla wszystkich. W szczególności, szkoda wielka, że nie uczestniczyli w niej ci z pośród polityków czynnych, którzy, w odniesieniu do zagadnienia narodu i polityki narodowej, żyją wciąż jeszcze pojęciami b. monarchji Habsburgskiej. Poglądy, wygłoszone przez narodowca-żyda, łatwiejszy znalazłyby dostęp do ich głowy, niż poglądy nacjonalizmu polskiego.

Co w przemówieniu Sokołowa powinno było zwrócić uwagę obecnych na konferencji wrogów polskiego nacjonalizmu? Przedewszystkiem same składniki pojęcia narodowości, tak barwnie przedstawione przez Sokołowa.

Składnikami temi są: rasa, nawet nie język — według p. Sokołowa, terytorjum narodowe, wspólność historji, uczucie narodowe. Możnaby uzupełnić tę definicję wyjaśnieniem, że rasa i terytorjum, zespolone ze sobą w ciągu dziejów dają w wyniku narodowość. Ta zaś, ożywiona płomieniem wspólnych jej uczuć i oświetlona promieniem samowiedzy i woli narodowej przetwarza się w naród, który przeto jest świadomą siebie narodowością.

Narodowość istnieje podmiotowo. Naród podmiotowo i przedmiotowo.

Ażeby uniknąć zarzutów nieścisłości lub dowolności, niżej (nie) podpisany przypomina, że p. Sokołow uwydatnił znaczenie pierwiastka rasy, mówiąc o Arabach i podkreślając, iż ma na myśli nie tych, co mówią po arabsku, bo po arabsku każdy może mówić, ale „tych prawdziwych rasowych Arabów“. Mówił również Sokołow, że pionierzy sjonistyczni radują się i śpiewają, ciężko pracując, bo „śpiewa w nich ta krew, która płynie w ich żyłach od tysięcy lat“. Podkreślić tu należy uwydatnione przez Sokołowa biologiczne plemienne źródła poczucia narodowego.

W równie wyraźny i skrajnie nacjonalistyczny sposób postawił Sokołow sprawę terytorjum narodowego, określając je już nie jako aktualny stan posiadania narodu, ale jako jego niezbywalne prawo własności na obszarze będą-

cym jego kolebką i siedzibą w ciągu dziejów. Prawo to nie zna przedawnienia, więc gdyby np. Poznań został całkowicie zniemczony za czasów hakaty, to pomimo wszystko — powiada Sokołow — byłoby to miasto polskie. Tak samo, zdaniem p. Sokowa, rzecz się ma z Jerozolimą i Palestyną, kolebką narodowości żydowskiej.

Sokołow w swych poglądach na terytorjum narodowe idzie nawet zbyt daleko — poza punkt widzenia ściśle nacjonalistyczny — i wpada w pewnego rodzaju imperjalizm, przewidując np. możliwość i uznając celowość ogólno-cywilizacy jną akcji kolonizacyjnej żydowskiej w Transjordanji a nawet w Syrji.

Jest to „imperjalizm kulturalny" o nastawieniu biernem, które jednak przeobrazić się może z łatwością w nastawienie czynne, torując drogę imperjalizmowi politycznemu. Świadczy o tem zapytanie, rzucone przez Sokołowa „dlaczegóżby Palestyna żydowska nie miała odegrać tej roli na Bliskim Wschodzie, jaką odgrywa na Dalekim Wschodzie — Japonja"? Mamy tu więc do czynienia z pierwiastkiem woli, jako składnikiem pojęcia narodu.

Całokształt poglądów wodza światowego sjonizmu na istotę narodowości i narodu, sądząc przynajmniej na podstawie tego, co mówił on na konferencji z przedstawicielami prasy warszawskiej, nie odbiega od powszechnie ustalonej nowoczesnej teorji nacjonalizmu.

Program p. Nachuma Sokołowa, program palestyński, jak sam powiedział, streszcza się w słowach: „Chata nasza biedna, ale to nasza chata".

Nacjonaliści polscy są skromni i też chcą tylko, by ich biedna (zaiste!) chata była ich chatą!

Gdyby to jedno chcieli zrozumieć nasi antynacjonaliści od „Robotnika" do „Gazety Polskiej" — to pomnikby należało wznieść za życia (ze składek „endeckich") p. Prezesowi N. Sokołowowi.

O „POLSKO - ŻYDOWSKIEJ MANIFESTACJI" w Równem rozpisuje się szeroko żydowski „Nasz Przegląd" (nr. 324). Odbyła się ona w dniu 12 b. m. z powodu pierwszego posiedzenia komitetu żydowskiego, mającego się zająć zebraniem funduszu na zakupienie samolotu wojskowego. Akcję tę zaczęto pod hasłem „Żydzi Wołynia — armji polskiej". Na uroczystość tę stawili się przedstawiciele władz cywilnych i wojskowych, przemawiał starosta Kański, a potem dowódca garnizonu gen. Knoll. Przemówienie to, jako nader charakterystyczne, przytaczamy za „Naszym Przeglądem":

„Jako przedstawiciel wojskowości na terenie tutejszym wyrażam najszersze uznanie dla podjętej przez Panów akcji. Inicjatywa wasza dostarczenia armji naszej aeroplanu godna jest pochwały, tem bardziej, iż dzieje się to bez przymusu. Ta spontaniczna, żywiołowa akcja ma doniosłe znaczenie dla współżycia polsko-żydowskiego, tem bardziej, że zainicjowana została właśnie na kresach. Społeczeństwo żydowskie nawet nie docenia jeszcze znaczenia tej akcji. Cała historja Polski — a mówię to z akcentem — wolna jest od antysemityzmu. Antysemityzm—to jeden z tych chwastów, co pozostawili nam państwa zaborcze, a który władza w ciągu 15 lat niepodległości wyplenił już w znacznej mierze. Twierdzę stanowczo, iż w armji polskiej antysemityzmu niema."

A na zakończenie mówca dorzucił:

„Ten dar wasz dla armji polskiej zademonstruje przed całym światem, iż jako obywatele jesteśmy wszyscy równouprawnieni. W związku z tem, że powietrze nie zna granic wybór wasz co do aeroplanu był nadzwyczaj trafny".

Tak jest. Jesteśmy wszyscy równouprawnieni. Słusznie też w związku z tem zaznaczyć można, że żydzi, jak powietrze, nie znają granic. Polacy, choć równouprawnieni, to jednak obarczeni są obowiązkami właśnie z tego powodu, że mają granice i wszystko czynić muszą ku ich obronie z zachowaniem całej ostrożności w doborze sojuszników.

O ROZMOWACH POLSKO-NIEMIECKICH

SPRAWA wszczętych pertraktacyj polsko-niemieckich należy do tych, które powiny być jednolicie — ze stanowiska interesu narodowego — rozumiane przez wszytkie odłamy, opinji polskiej. Konieczność tę zaznaczył wyżej w dzisiejszym artykule wstępnym senator S. Kozicki. To też ze względu na wagę sprawy wracamy jeszcze raz do niej, aby co do niektórych punktów przez dyskusję dojść do porozumienia.

*

Zdawałoby się, że stosunki polsko-niemieckie są tą dziedziną, w której rzeczywistość sama ma tak wyraźną wymowę, że sprawy te komentowane być mogą tylko z największym realizmem i trzeźwością. Tymczasem w prasie, obok komentarzy banalnych, nie zabrakło i dziwacznych. Jest to więcej może zrozumiałe, niż się napozór zdaje.

Ścisła ocena stosunków polsko-niemieckich w danym momencie wymaga także ścisłego zdania sobie sprawy z aktualnej rzeczywistości polskiej; a czy głębsza analiza obecnego stanu rzeczy w Polsce jest popularną specjalnością naszych czasów?, W publicystyce w tym zakresie panuje stale kurs starych i nowych, ale jednakowo nierealnych frazesów. Do najdziwniejszych komentarzy, jakie z tematem powyższym z darzyło nam się czytać, z pewnością należał nawiasowo wypowiedziany przez jeden z wielkich dzienników stołecznych pogląd, że poseł Lipski znany jest jako jeden z tych dyplomatów polskich, którzy pragną zbliżenia polsko-niemieckiego, i że przeto horoskopy porozumienia układają się stosunkowo pomyślnie. Uwaga ta, napozór nie rażąca, w rzeczywistości jest wnioskiem ze zgoła nierealnych przesłanek. Przedewszystkiem bowiem przypuścić należy ze dyplomata polski ma swoje indywidualne zdanie, którem wyróżnia się jakoś. Ale dość przypnszczenie to wyrazić słowami, aby ujrzeć, jak zawstydzająco jest nieżyciowe.

Nie można mieć odrazu dwuch rzeczy, wykluczających się nawzajem. Gdzie najwyższą cnotą jest dostosowanie się do poglądów, tam nie może być mowy o znaczeniu indywidualności. Strzyżony szpaler nie może wyglądać, jak szereg drzew o mocnych konarach rosochatych. Nawet przez grzeczność nie można chwalić wyrównanych w szpalerze grabów za to, że tak przyponinają rozgałęzione dęby. Komplement wtedy przestaje być komplementem. To trudno, nie można chwalić dyplomaty za to, że znany jest ze swych szczególnych poglądów na sprawę porozumienia polsko-niemieckiego. Bo wszyscy jego koledzy także „znani" są z tych samych szczególnych poglądów. Wszyscy może są ekscentrykami, ale tak się składa, że wszyscy naraz hołdują tej samej ekscentryczności mniemań.

W tych warunkach porzucić trzeba prawienie dyplomatom komplementów. Dobre one były w czasach, kiedy indywidualności miały większe znaczenie, przestarzałe zaś są w czasach udoskonalonej, jak sanacyjna, pracy „zespołowej“.

*

Treść rozmowy posła polskiego w Berlinie z kanclerzem Hitlerem, podana do wiadomości publicznej za pomocą komunikatu prasowego, sama przez się nie poucza, o jakiejkolwiek zmianie w dotychczasowych stosunkach oficjalnych polsko-niemieckich. Prasa, nietylko polska, mylnie nazywa tę rozmowę „aktem“, „paktem“, „ugodą“, „porozumieniem“. Tymczasem rozmowa, która odbyła się w Berlinie, nie ma żadnego znaczenia prawnego, nie jest nawet projektem umowy. Nic nie podpisano, nic nie parafowano, tembardziej przedwcześnie mówić o ratyfikacji jakiegoś aktu. A więc tylko „gest pokojowy“, który rzekomo ma poprzedzać dalsze pertraktacje w różnych kwestjach interesujących obie strony, z wyłączeniem terytorjalnych.

Niewątpliwie okoliczność, że gest ten wykonany został zaraz po umocnianiu się kanclerza Hitlera na stanowisku rozkazodawcy, wodza narodu niemieckiego, po otrzymaniu niebywałego *votum* zaufania ze strony narodu — okoliczność ta powiększa znaczenie dyplomatyczne gestu. Ale „gest“ ten wtedy dopiero byłby naprawdę interesujący, gdyby można było w nim widzieć także wyraz dążeń, dających znać o sobie w nowym nacjonalizmie niemieckim. Wtedy dopiero otwierałby nową epokę w polsko-niemieckich stosunkach. Dopóki pozostaje tylko gestem „dyplomatycznym“, na ułożenie się tych stosunków nie może oczywiście mieć większego wpływu.

Podniesiono, że rozmowa berlińska ułatwi prowadzenie dalszych rokowań w duchu większej lojalności i zgodności. Korzyścią główną ma być więc „inny ton“, wrowadzony do dysharmonji stounków polsko-niemickich. Ale i ta korzyść byłaby o wiele większa, gdyby wynikała nie z formalnej zpody dyplomatów, ale z rzeczywistej zgodności pewnych prądów cywilizacyjnych u obu narodów. Podjęcie np. rozwiązania kwestji żydowskiej w Polsce analogicznego do rozstrzygnięcia jej w Niemczech, wynikające z położenia Polski, i mające na celu podobną obronę interesów europejskiego, północnego narodu przed egzotycznym przybyszem, więcej z pewnością wpłynęłoby na „poprawę tonu“ w rozmowach wzajemnych, niż najpoprawniejsza dyplomatyczna wizyta.

Z okazji rozmowy berlińskiej podniesiono w prasie półurzędowej polskiej, że konferencja miała na celu także, a może przedewszystkiem, zamanifestowanie „samodzielności” polityki polskiej wobec Francji. To byłaby najprzykrzejsza i wręcz upokarzająca refleksja. A więc kwestja polsko-niemieckich stosunków traktowana być ma, jako sposobność egzaminowania siebie samych z samodzielności w polityce? Więc aż tak jesteśmy niesamodzielni i tak lekkomyślni, że musimy „samodzielność“ manifestować, i przy pomocy „gestu“ bez znaczenia, dowodzić swojej zdolności do „czynu“? „Trzeba było c z y n u, a do takich *sic* zaliczyć należy bezwątpienia wspólny komunikat polsko-niemiecki, aby się ludziom (t. j. Francuzom, przyp. nasz) naprawdę otworzyły oczy na rzeczywistość“. Oto komentarz półurzędowego pisma („Gazety Polskiej“), świadczący, jak głęboko w umysłowości starszego, rządzącego dziś Polską pokolenia zakorzeniony jest „kompleks niższości“, i jak niefortunnie czasem daje znać o sobie.

„Gazeta Polska” nie namyśliła się zresztą dobrze, z czego być dumną, jeżeli (zaznaczmy nawiasowo) — głos włoskiego pisma *„Tevere“* (z 20.11), piszącego „Znakomity przebieg pertraktacji pomiędzy Niemcami a Polską uwidocznia zbyteczność protektoratu Francji nad Europą Środkową” — podaje pod tytułem ostrzegawczym: „Fałszywe wnioski”. A więc nawet „protektorat” nie jest zbyteczny?

Mniejsza o te śmieszne niekonsekwencje. Naprawdę niepomyślne jest, jeżeli „gest pokojowy“ dla obcych ma taką wymowę, że skłonić może do snucia szkodliwych i fantastycznych przypuszczeń. Korespondent *„Observera“* w ten sposób np. streszcza wrażenie, jakie komunikat polsko-niemiecki wywarł w kołach lewicy francuskiej:

„Polska uważa, że obronę korytarza gdańskiego może już wziąć całkowicie na siebie, i Francja za bezpieczeństwo Polski w tym zakresie nie potrzebuje już czuć się odpowied4ialna“.

Nie jest dobrze, jeśli gest, którego znaczenie ma być przedewszystkiem propagandowe, wywrzeć może zagranicą wrażenie, że Polska lekceważy swoje sojusze. Żadne państwo na kontynencie europejskim nie może obyć się bez sojuszów, i zła byłaby polityka, którąby w najmniejszym stopniu jakiś pożyteczny sojusz nadwyrężała.

NAUKA I LITERATURA

ZE ŚWIATA LITERACKIEGO

Jak nas informują, w tece pośmiertnej ś. p. J a n a L e m a ń s k i e g o znajdują się cztery gotowe do druku tomy niedrukowanych dotąd utworów. Niewątpliwie spadkobiercy zajmą się pieczołowicie tą cenną spuścizną.

Z RUCHU WYDAWNICZEGO

Zdawna już wyczerpały się w handlu pierwsze tomy *„Corpus scriptorum Polaniae Latinorum“* wydawane przez Akademję Umiejętności; po przerwie przeszło ćwierćwiekowej dodano nowy tom, obejmujący poezje Janickiego w opracowaniu L. Ćwiklińskiego, zapowiedziano zaś nowy tom, zawierający utwory Dantyszka, na który czekamy już od lat kilku Takie tempo wydawnicze nie mogło zadowolić ludzi interesujących się tą dziedziną polskiej literatury. Energiczny i przedsiębiorczy prof. G a n s z y n i e c i tutaj okazał swą inicjatywę, przystępując do wydawania „Z b i o r u p i s a r z y p o l s k o - ł a c i ń s k i c h“ z podwójnym tekstem. oryginalnym i tłumaczonym. W zbiorze tym wyjdzie słynna „Pieśń o żubrze“ Hussowczyka (w przekładzie Kasprowicza), o której podawaliśmy już wiadomość, ukaże się też nowe, przerobione wydanie „Silviludiów“ Sarbiewskiego, niezależnie od tego, jakie ogłosił sam prof. Ganszyniec przed dwoma laty. Obecnie otrzymaliśmy dwa tomiki, przystępne w cenie i w ujęciu, opracowane przez filologów lwowskich: J. Smerekę i M. Jezienickiego. Pierwszy z nich przełożył „Wojnę pruską“ Jana z Wiślicy, drugi „Księgę żalów“ Janickiego. Zwłaszcza pierwsza z tych książek zasługuje na uwagę wielką, przez wzgląd zarówno na aktualny wciąż temat walki z krzyżactwem, jak na cenne i interesujące informacje historyczno-literackie w przedmowie, jak wreszcie i na wartość przekładu. W tym ostatnim względzie miał Smereka poprzedników poniekąd tylko w Syrokomli i Mecherzyńskim (którzy tłumaczyli urywki) oraz może w Górnickim, któremu chciano przypisać „Pieśń o pruskiej porażce“ (niewątpliwie nie w 1510 r. powstałą, skoro bierze fakty z Kromera), jakoby mającą pewien związek z „Wojną pruską“. Poemat Jana z Wiślicy znany był. Sienkiewiczowi, który przejął zeń parę szczegółów w „Krzyżakach“; rzecz ciekawa, że i osławiona „Jagiellonida“ Dyzmy Tomaszewskiego nieraz przypomina „Wojnę pruską“ w swem ujęciu. (J. B.)

*

Ukazał się nakładem Gebethnera i Wolffa 3-ci (ostatni) tom „Pamiętników“ Władysława Mickiewicza, przynoszący szereg rewelacyj na temat emigracji naszej jak i, w szczególności, rozstrząsanych obecnie zagadnień mickiewiczowskich. „Pamiętniki“ sięgają początku XIX-go wieku a kończą się, w świeżo wydanym tomie III-im, około r. 1925. Tom ten obejmuje czasy komuny, ostatnie trzydziestolecie XIX wieku i pierwszą ćwierć XX-go; przesuwają się w nim setki historycznych postaci — od polskich jenerałów komuny do Edwarda Herriot'a włącznie.

Wydawcy dodali indeks nazwisk wymienionych w trzech tomach „Pamiętników“ oraz wspomnienie pośmiertne o Władysławie Mickiewiczu. Tom ten zamyka dzieło, będące cenniejszym i ciekawym pomnikiem dziejów naszej emigracji i Polski w okresie niewoli.

*

Punkt ciężkości w Rosji coraz bardziej przesuwa się na wschód. Wyrazem tego było przeniesienie stolicy do Moskwy. W tym kierunku zmierzają prace rządu sowieckiego, mające na celu uprzemysłowienie Syberji. Na emigracji przejawem tych tendencyj jest ukazujące się w Berlinie „Wydawnictwo eurazyjców“ (*Izdanie ewrazijcew*).

Wśród wydanych prac możemy zanotować szereg bardzo interesujących, a mianowicie Sawickiego *„Rossija osobyj georaficzeskij mir“*, Pola *„Iz istorji koczewogo mira“*, Sawickiego *„W borbie za ewrazijstwo“*.

Obecnie mamy ostatnią książkę z tego wydawnictwa, noszącą tytuł *„Mestorazwitje russkoj promyszlennosti“*, napisaną przez P. N. Sawickiego (Berlin 1932 r. str. 162). Książka zajmuje się zagadnieniem geograficznego rozmieszczenia bogactw naturalnych Rosji, stanowiących przyrodnicze warunki rozwoju przemysłu rosyjskiego. Autor opierając się na bogatym materjale faktycznym dochodzi do wniosku, że główne bogactwa naturalne Rosji znajdują się w Azji i że tam z czasem przesunie się centrum przemysłowe Rosji. Rosja europejska pozostanie raczej krajem rolniczym. W tych warunkach również centrum polityczne będzie się musiało przesunąć do Azji. (J. P.)

FILM

FILHARMONJA: „Bunt młodzieży“, reż. Cecil B. de Mille

O autorze tego filmu, znanym reżyserze amerykańskim czytałem kiedyś następującą anegdotkę, która go bardzo dobrze charakteryzuje. Chaplin i Cecil de Mille nie lubią się. Kiedyś, gdy u Chaplina był jego znajomy, obaj usłyszeli przez okno jakiś hałas na ulicy. Orkiestra grała marsze, tłum coś krzyczał — nito rwetes, nito jakaś uroczystość... Chaplin podszedł do okna, żeby zobaczyć co się dzieje. Znajomek pyta: „a co tam mój drogi?“ „E... nic“, odpowiada Chaplin, to de Mille poszedł do sklepiku po pudełko zapałek“.

De Mille lubi rozmach inscenizacji i, nastawiony na monumentalność robi filmy, w których często gęsto wyłazi bujda, jak szydło z worka. Formalnej, zewnętrznej stronie jego utworów nieraz niewiele można zarzucić, co do fabuły— jest efekciarzem nie umie się opanować; zamiast subtelnego szkicu gdy rzecz tego wymaga ciągle naciska pedał, grzmi forte i... podoba się. Niby to rozwiązuje jakieś zagadnienia, chce być „głęboki“, lecz w rezultacie wszystko przebiega „po łebkach“ i zwikłany gąszcz problematu przykrywa tromtadractwem.

Scenarjusz jego ostatniego filmu pełen jest nieprawdopodobieństw i sytuacyj mocno naciąganych. A przecież, jeśli chodzi o treść, zaczyna się bardzo obiecująco. Podczas „tygodnia chłopca“, w Ameryce. młodzież szkolna sprawuje najwyższe urzędy, obejmuje najbardziej odpowiedzialne stanowiska. Przez siedem dni pod okiem dorosłych oczywiście, styka się bezpośrednio z życiem, by wiedzieć jak w przyszłości, kierować mądrze i sprawiedliwie jego sprawami. Obraz tej zabawy w dorosłych, traktowanej poważnie, można było narysować interesująco i pogłębić go naświetlaniem psychiki młodzieży, rozwiązującej inaczej niż dorośli te same sprawy i, co ważniejsze jeszcze, inaczej na nie reagującej.

Tu, choć w tytule mowa o młodzieży, właściwie na pierwszy plan wyłażą bandyci. Jest to, prawdę mówiąc film sensacyjny, „gansterski“, z tą odmianą, że policję zastępuje młodzież, samorzutnie zorganizowana, w celu złapania herszta bandy i przeprowadzenia dowodu jego winy, czego starsi nie robią, bo nie mogą jakoś wynaleźć w kodeksie odpowiedniego paragrafu. Ponieważ policja tropi złoczyńców zawodowo i dostaje pensję, a młodzież — gratis, z pobudek ideowych, więc publiczność wydaje się to b. miłe i gotowa jest nawet wzruszyć się. Dzielność staje się zaraźliwa: reżyser, ułatwiając młodzieży zadanie zbyt dzielnie usuwa wszelkie przeszkody W końcu sam się orjętuje zapewne, iż przeholował, bo, jakby dla nadania prawa obywatelstwa różnym naciąganym sytuacjom, przechodzi w wyraźny, wesoły grotęskowy ton. taki już wyraźny charakter posiada scena tryumfalnego pochodu z pochodniami, z pojmanym i związanym oprychem na ramionach młodzieży.

Film zrobiony zręcznie, montaż dobry wiele scenek wyrazistych, o ciekawie zarysowanem skontrastowaniu. Kilka nieźle pomyślanych ujęć obrazu na prostokącie ekranu. Grają młodzi nieznani przeważnie u nas, aktorzy. Aktor dobrze użyty i nie nadużyty.

Ocena ostateczna: treść plastyczna, filmu przedstawia się dodatnio, gorzej z treścią literacką, a jeszcze gorzej z tem „głębokiem“ ujęciem zagadnienia.

ŚWIATOWID: „Dziś żyjemy“ reż. Hewks.

Jeszcze jeden film wojenny. Od poprzednich odróżnia się brakiem tendencyj pacyfistycznych i naświetleniem zagadnienia z całkiem innej strony. Pokazano wreszcie. iż wojna, wraz z jej atmosferą, może obnażyć w człowieku także dodatnie chchy jego charakteru. Szkoda tylko, że dwaj młodzi ludzie, sympatyczni bohaterowie tego filmu, prześcigają się wzajem w odwadze, szlachetności i wielkoduszności nie dla jakiejś idei, albo ojczyzny, tylko dla osoby, kobiety, którą obaj kochają, co zupełnie inaczej zabarwia ich czyny.

Ożywiają film sceny lotnicze i morskie. Zdjęcia miękkie i b. malarskie. Zadużo djalogów.

Grają: Joan Crawford i Gary Cooper.

KANDYD

ZMARLI

Ś. P. STANISŁAW GODLEWSKI

PO DŁUGICH i ciężkich cierpieniach zmarł w dn. 19 b. m. przeżywszy 66 lat, senator Stanisław Godlewski, właściciel Łuszyna w pow. Gostynińskim, ziemianin wybitny, członek zasłużony Stronnictwa Narodowego.

Sercem oraz przekonaniami należący zawsze do obozu narodowego, do stronnictwa politycznego przystąpił już jako mąż dojrzały. Nie skłoniły go do tego namiętności polityczne, ambicje lub inne widoki osobiste, lecz niezależne i mocno ugruntowane w duszy przeświadczenie, że w okresie osłabienia instynktu narodowego w sferze ziemiańskiej, w momencie zbłąkania się na manowcach jej myśli politycznej, należy dać stanowczy wyraz prawdzie wyznawanej przez całe życie i złączyć się w działaniu z tem stronnictwem, które interes narodu jako całości stawiało ponad wszelkiemi interesami poszczególnych jego warstw i grup.

Dzieląc losy ziemiaństwa w czasach, tak ciężko odbijających się na jego bycie materjalnym, nie wahał się ś. p. Stanisław Godlewski wejść na drogę przeciwną tej, jaką poszła większość ziemiaństwa, a to by dać dobry przykład innym i stwierdzić zasadę, iż obrona interesów, zarówno materjalnych jak duchowych tego stanu, nie może skutecznie się odbywać z jednoczesną poniewierką jego dorobku moralnego, jego tradycyj wiekowych oraz stanowiska wśród narodu.

Tą ideą przeniknięty działał niemal do końca dni swoich, w licznych instytucjach i organizacjach ziemiańskich, którym od szeregu lat oddawał siły swoje, swoją wiedzą fachową, jako wytrawny prawnik, i swoje szlachetne, bezinteresowne uczucia obywatelskie. W dziejach tych instytucyj zapisał zmarły niejedną chlubną kartę i pozostawia niezatarte po sobie wspomnienie. Pozostawia je również wśród szerokich sfer społeczeństwa naszego, wśród licznych przyjaciół, wśród kolegów ze Stronnictwa Narodowego, jako człowiek wypróbowanej wiary, prawego charakteru, światłego umysłu i zacnego serca.

W. J.

Ktoby z naszych czytelników nie kompletował „Myśli Narodowej“, a posiadał nr. 28 z r. b., zrobi nam wielką przysługę, jeśli zechce przysłać go pod adresem Redakcji.

OFENSYWA

JEGO EKSCELENCJA SKIWSKI

Motto:

„Brzozowskiemu brak kontynuatora, bo mamy wrodzony wstręt do filozofji. Witkiewicz bardziej jest znany z imienia niż z treści swego dzieła. Życie płynie kapryśnie, jak Wisła nieuregulowana, ma swoje powodzie i swoje posuchy, kłębi się i chyboce chaotycznie, jak mgły jesienne nad Giewontem, i czeka na twórczy rytm myśli badawczej i krytycznej. Umiał niegdyś wnikliwie krytykować Nowaczyński, który przy całej kapryśności myśli i sentymentu rzucał złote błyski na biel obłoków i na szarzyznę chmur".

Paweł Hulka - Laskowski
(„Erotomagja")

ZNAMIENNY jest fakt, że ostatnio wydanemu zbiorowi swych artykułów nadał autor tytuł „Pamflety", tytuł, formalnie rzeczy biorąc, w części tylko usprawiedliwiony treścią książki. Na czoło bowiem nowego zbioru wybijają się właśnie rozdziały poświęcone pisarzom, dla których Nowaczyński ma cześć szczególną. Mamy tu więc *„Ignis ardens"* (o Słowackim), „Wyspiander", „Niespodzianka" K. H. Rostworowskiego. Jeśli przeto, tak nam się wydaje, wszystkie te studja objął autor tytułem „Pamfletów", to dlatego widać, że ceni w sobie przedewszystkiem pamflecistę. Dał temu zresztą niedwuznacznie wyraz w tytule imaginacyjnego wywiadu z sobą samym („Pamflecista"). Chciał się autor widocznie jak najszczelniej odseparować od wszelkiej postaci akademizmu, chciał podkreślić, że krwią jego sztuki jest styl bujny, groteskowy, o konstrukcji kapryśnej, zaprawiony ironją—styl kolekcjonera potworności ludzkich. Jeśli się nie mylimy, jeśli istotnie taka była tendencja autora (a to zdaje się wątpliwości nie ulegać), to przyznać trzeba, że trafnie ocenił rodzaj swojego talentu. — Istotnie, większość nieporozumień, które tak często wywołują wystąpienia Nowaczyńskiego, ma źródło w niewłaściwej ocenie jego fizjognomji twórczej. Boć przecież dzisiaj już nikt, jako tako uświadomiony literacko, nie będzie zarzucał powieściopisarzowi, że, dajmy na to, poszukuje tematów tragicznych, ramiast wesołych, że jest humorystą, a nie lirykiem. Tak samo nie można robić zarzutu Nowaczyńskiemu z tego, że mu się rzeczywistość rysuje w kształtach groteski. — Czy znaczy to, że studja Nowaczyńskiego są tworami fantazji artystycznej, nie pozostającemi w żadnym realnym stosunku do rzeczywistości? Bynajmniej.

W studjach tych znajdujemy niezwykle cenne rewelacje o pewnych odcinkach rzeczywistości, rewelacje niekiedy wstrząsające. I jest już rzeczą naszą, czytelników, zorjentować się, w jakim stopniu wszechstronne jest dane studjum lub kompletny dany portret. W rozdziale np. poświęconym Wyspiańskiemu, charakterystyka Przybyszewskiego wypada bardzo minorowo. W autorze *„De profundis"* widzimy przebiegłego kabotyna, płaszczącego się przed prawdziwą wielkością, chytrego dyplomatę, pokrywającego swoje manewry rzekomą prostotą i serdecznością. Któż decyduje się twierdzić, że ta charakterystyka jest pełna, że daje nam ona pojęcie należyte, choćby tylko o Przybyszewskim, jako o człowieku? Ale z drugiej strony niesposób zaprzeczyć, że pewne cechy jego charakteru ujęte zostały trafnie i w zestawieniu z innemi (o których Nowaczyński nie wspomina, gdyż go nie interesowały, ba, zepsułyby mu obraz) dadzą nam pełny wizerunek pisarza.

Tom Nowaczyńskiego zawiera materjał nader różnorodny. Poza wspomnianemi już szkicami mamy tu słynny „Mój pogrzeb", „Meno (czyli sztuka litewska)", „Obywatel Piotr Bonaparte", „Czy Horacy był Rzymianinem?", „Nieznany Heine" i inne.

Najświetniej zabłysnął talent Nowaczyńskiego w „Wyspiandrze". Autor splótł tu swój żywot z żywotem wielkiego twórcy „Wesela", rysując ten podwójny portret na szerokiem tle ówczesnego Krakowa. Kult dla Wyspiańskiego przebija z każdego wiersza tego znakomitego studjum. Niech też nikt nie mówi, aby tu było jakoweś klepanie po ramieniu wielkości. Traktowanie wielkiego twórcy, jako żywego człowieka, nie jest profanacją, jest raczej dowodem prawdziwej i głębokiej dla niego miłości. To tylko wzrusza, co żywe.

Niesposób mi się w tem krótkiem sprawozdaniu rozwodzić nad językiem Nowaczyńskiego, jest to doprawdy temat do rozprawy. Takim językiem nikt inny u nas nie pisze. Wszystkie jego rzekome wady, które mu pedanterja lubi wytykać, są w rzeczywistości wybitemi zaletami. Ta gwałtowna mobilizacja wyrażeń jaskrawych, kapryśnych, niesamowitych, jazzbandowych, ta istna Niagara pomysłów, dwuznaczników, napoczekaniu stworzonych neologizmów, ten turniej *volapück*'u jest przecież pomysłem głęboko artystycznym, oryginalnym i w ekspresji niezmiernie celowym. Wczytując się w pisma Nowaczyńskiego, niesposób doprawdy zrozumieć tych, którzy biadają nad tem, że się autor „nie ustatkował", którzy kiwają głowami i, wzdychając, powtarzają: „szkoda!" — Wcale nie „szkoda". — Doskonale!

J. E. Skiwski

Przepisał z „Tygodnika Ilustrowanego"
ADOLF NOWACZYŃSKI

NA MARGINESIE

Znalazła się poetka (p. Johänne Wielopolska) i znalazł się kompozytor (Maklakiewicz), którzy się znaleźli i zawierają z sobą spółkę w celu przerobienia hymnu „Jeszcze Polska nie zginęła" z mazurka na tango. W tekście nastąpi lekka zmiana; mianowicie pierwsze zdanie będzie wyrażało zdziwienie: Jeszcze Polska nie zginęła?

*

Z dziennika sanacyjnego.

„Znany szeroko w kraju filantrop K, dowiedziawszy się z dzienników, że przyrost ludności spada, ożenił się. Nie wahał się tego uczynić w 70-m roku życia, aby dać dobry przykład współpracy w dziele odrodzenia. Uczynił to w imię zasady: *„feci quod potui, faciant posteriora—potentes"*.

*

— Dla czego „Peowiaka" Wittiga przed gmachem Tow. Zachęty Sztuk pięknych ustawiono nie na środku skweru, lecz z boku?

— Bo po drugiej stronie legnie posąg „Peowiaczki" tegoż artysty, przeniesiony z parku Ujazdowskiego.

*

A propos słynnej mowy na inauguracji Akademji Literackiej na temat Szabla i Słowo, opowiadają, że istotnie pewien poeta napisał wiersz „Sen o szabli"... Bohaterski to był poemat, ale jakże się radował poeta, ilekroć sobie uprzytomnił, że to był tylko sen.

*

Z dyskusji, jaka się wywiązała między „Kurjerem Warsz." (B. Koskowski, S. Stroński) a Wassercugiem (Wasowskim) w żydowskiej „Epoce", wyszło na jaw, że ograniczenie wolności nauki na uniwersytetach ma w pewnej loży gorących zwolenników, że prof. Wolfke, ozdobiony teraz wysokim orderem, ogłoszony jest w oficjalnym organie wolnomularstwa jako mistrz loży. W tem świetle szczególnego nabiera smaku walka o prof. Stefkę na uniw. lwowskim, szczucie młodzieży narodowej i t. d. i t. d.

Powinszować można sanacji bezinteresowności: tak ciężko pracować, tyle wyczynów bohaterskich, tyle poniżenia, jakiem jest kłamstwo! Czy warto robić tyle zamętu i brukać sumienie, czy się godzi, czy nie wstyd?!

*

Z dziennika sanacyjnego myśliciela:

„Roman Dmowski w jednym z niedawno ogłoszonych artykułów wypowiedział zdanie, że realizacja idei „elity" należy do zagadnień bardzo trudnych... Ale widzę, że nawet Sławek nie może sobie z tem zagadnieniem poradzić. Pomimo uwielbienia, jakie mam dla jego potężnej inteligencji, nie mogę się zgodzić, aby ordery, nadawane — zwłaszcza dawniej — za cnotę, mogły stanowić bezpieczną podstawę elity zdrowo myślącej. Sądzę, że zasada kartotek, która, jako nowość, tyle hałasu w swoim czasie narobiła, znaleźć powinna w tej sprawie odpowiednie zastosowanie. Nic łatwiejszego, jak ułożenie hierarchji obywateli na zasadzis świadectw policyjnych, wystawionych na użytek wyborczy dojrzałym mieszkańcom kraju. Prawomyślność byłaby tam oznaczana w sposób uproszczony stopniami, jak w szkołach, od jedynki do piątki. Ludzie z czwórką i piątką mieliby prawo wybierania do Sejmu, z piątką do Senatu. System ten przedstawiałby tę dogodność, że w razie odmiany *regime*'u porządek wartościowania dałoby się odwrócić. Ludzie z jedynką wybieraliby do Senatu".

TREŚĆ:

Adres Redakcji: Marszałkowska 153, tel. 625-45. Adres Administracji: Al. Jerozolimskie Nr. 17, 2-gie piętro Tel. 9-87-90.

PRZEDPŁATA kwart. zł. 9, półrocznie zł. 17, rocznie zł. 32, zagranicą kwart. zł. 12, półroczn. zł. 24, rocznie zł. 45.
Konto czekowe na P. K. O. 3.105.

Redaktor naczelny i wydawca: ZYGMUNT WASILEWSKI. Redaktor odpowiedzialny: JAN REMBIELIŃSKI.

Druk. Koop. Prac. Drukarskich. Zielna 47. Tel. 619-57 PRZESYŁKA POCZTOWA OPŁACONA RYCZAŁTEM.